Nr. 99. Lwów — Sobota dnia 30 Kwietnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy gości i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 h. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

[illegible]
Korresp. prywatne . . . 6 h.
[illegible]

Dziś: | 30 | św. Katarzyny S. | 28 | Symeona
Jutro: | 1 | św. Filipa i Jakóba | 18 | Jana

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 4 m. 51
Zachód „ „ 7 m. 4

Długość dnia godzin 14 minut 13
Przybyło dnia od wczoraj 2 min.

Sytuacya parlamentarna.

Piszą nam z Wiednia 27 kwietnia:

Trafnie określa w *Bohemii* stosunki w Radzie państwa jakiś poseł niemiecki: „Nie jest ani gorzej, ani lepiej, niż było". Panuje zawsze ta sama chwiejność, ta sama chęć zaniechania obstrukcyi i ta sama obawa, że to się nie podoba wyborcom. Usposobienie młodoczechów co chwila się zmienia: po przypływie decyzyi następuje przypływ chwiejności; już postanawiają oni zaniechać obstrukcyi, zaprzestać walki z gabinetem dra Koerbera i — jak oni się wyrażają — „przyjąć taktykę Koła polskiego, taktykę popierania realnych interesów", aliści zaraz potem odwołują to postanowienie, bo grożą im agraryusze czescy i radykałowie, a Dalmaci, którzy już stale każą siebie nazywać Chorwatami, wołają: „Jesteście z nami w sojuszu — bez nas nie wolno wam zmieniać postępowania!" I tak w kółko, co dzień to samo. Dla Czechów stał się kulą u nogi sojusz z frakcyami słowiańskiemi. Są one małe i małych też interesów są rzecznikami. Ich polityczny horyzont węższy od czeskiego widnokręgu. Mają swoje drobne sprawy, o nich tylko myślą, chcą je załatwić przy pomocy Czechów, których też skrępowali groźnym zarzutem: „Myślicie zdradzić sprawę słowiańską!" Czy może być coś straszniejszego dla tych, którzy ciągle wywieszali chorągiew słowiańską? Czy można lekceważyć ten zarzut, skoro biorą go do serca czescy radykaliści i czescy agraryusze, którzy ze skargą na młodoczechów gotowi pójść do wyborców i powiedzieć im, że oto ten nieugięty, wojowniczy klub czeski złożył broń przed Niemcami, przed Koerberem, a nic, zgoła nic nie uzyskał, oprócz przyrzeczeń, że powoli, listek po listku, dany im będzie cały karczoch? Wszakże czescy agraryusze już wystąpili z czeskiego „zjednoczenia", aby nie być pod komendą „gnuśnych i kłamliwych" młodoczechów. Manifest agraryuszy, ogłoszony w ich organie *Obrana Zemedelcu*, a zawierający potępienie młodoczechów, jako polityków gnuśnych i kłamliwych, niezawodnie sprawi w Czechach wrażenie. Więc młodoczechom trudno się zdecydować na zaniechanie obstrukcyi, jeżeli zaś ona ma trwać, to po co Rada państwa?

Niemcy również nie chcą teraz naprawy parlamentarnych stosunków. Chętnie poczynią oni Czechom ułatwienia, które w oczach wyborców usprawiedliwią zaprzestanie obstrukcyi, ale nie teraz. Chodzi tu o wybór deputacyi kwotowej, co właściwie znaczy o parlamentarne załatwienie ugody austro-węgierskiej, albo przynajmniej o przygotowanie podstaw, na których rząd p. Koerbera będzie mógł zawrzeć tę ugodę na mocy § 14-go. W takim bowiem razie ugoda będzie wprawdzie ustanowiona cesarskiem rozporządzeniem, ale na zasadach wypracowanych przez parlamentarną deputacyę kwotową. Od odpowiedzialności za to wszyscy się usuwają. Niesłusznie utrzymują niektórzy, że dr. Koerber pokryjomo psuje układy czesko-niemieckie, bo on przeciwnie gorąco pragnie, aby one doprowadziły przynajmniej do parlamentarnego orzeczenia w kwestyi kwoty; na odwrót Czesi i Niemcy serdecznie życzą sobie, aby cała odpowiedzialność za tę sprawę spadła wyłącznie na rząd. Gdyby nie było paragrafu 14-go, oniby go teraz stworzyli. Zrzeczenie się przez hr. Fryderyka Schönborna udziału w delegacyach i godności prezesa wskazywało, że tak będzie. W mowie, którą on wygłosił w delegacyi austryackiej 18 lutego, jest wyraźna wzmianka o nadzwyczajnej trudności, jaką przedstawia sprawa kwoty. Jak hr. Schönborn umył ręce, tak samo czynią to inni i nie można im robić z tego zarzutu. Bo jakże? Po ułożeniu, ile da Austrya, a ile Węgry na sprawy wspólne, otrzymali Węgrzy koncesye, których wykonanie będzie kosztowało, a nadto zaprowadzili sur-taksę na cukier austryacki, a pomimo tego podział wydatków na sprawy wspólne pozostać ma bez zmiany? Wszakże to znaczy, że Austrya ma z własnej kieszeni opłacać koszta węgierskich przygotowań do całkowitej odrębności. Ugodę zawrzeć trzeba — to uznają wszyscy — ale posłowie, zależni od wyborców, nie chcą do tego przyłożyć ręki; niech to zrobi rząd nieparlamentarny w sposób nieparlamentarny. On będzie kozłem ofiarnym, jeżeli burza się zerwie.

Tak myślą Niemcy. A Czesi myślą jeszcze, że, jeżeli rząd stanie się kozłem ofiarnym, to tem dla nich lepiej, bo przecież oni wstawili do swego programu obalenie dra Koerbera.

Taka oto jest sytuacya. Czesko-niemieckiego porozumienia być teraz nie może, chyba, że w niedzielę, na konferencyi ministeryalnej, da się ułożyć inny podział kwot na potrzeby wspólne. Zaraz potem zbierze się sejm węgierski dla wyboru delegatów, a między 6-tym a 10-tym maja zacznie się sesya delegacyjna. Po niej atmosfera trochę się oczyści i pośrednictwo polskie może się okaże skuteczniejszem. W takim razie sesya potrwa do Zielonych Świąt.

Dawna przepowiednia.

W Rosyi i zaraz potem w Niemczech przypomniano sobie teraz, że w roku 1817ym pojawiła się przepowiednia teraźniejszej wojny rosyjsko-japońskiej. W owym roku wydał rosyjski wice-admirał i jeneralny intendent floty Gołownin dwutomowe dzieło pod tytułem „Moja niewola w Japonii". Niemal jednocześnie pojawiło się to dzieło w niemieckiem tłómaczeniu i było rozchwytywane przez ówczesną publiczność. Gołownin najpierw opisuje, jak się dostał do niewoli, w której przebył dwa lata, a następnie szczegółowo opowiada o prawie nieznanym wówczas narodzie japońskim, w końcu zaś przepowiada mu wielką przyszłość, a Rosyi — wielkie kłopoty z powodu tego sąsiada. Gołownin okazał się w tem dziele człowiekiem poprostu jasnowidzącym. Przytoczymy tu treść tej ciekawej książki.

W jesieni roku 1792 polecił rząd rosyjski porucznikowi marynarki Chwostowowi zwiedzić na małym wojennym okręcie wysepki, leżące dokoła Kamczatki, opisać tamtejszą ludność i ustalić, które z tych wysp można przyłączyć do Rosyi, a które — jako zaludnione przez Japończyków, powinny być uważane za własność Japonii. Niewiadomo z jakiego powodu Chwostow spalił jedną wioskę japońską na którejś z tych wysepek, mieszkańców wymordował, a wszystko, co znalazł wartościowego, zrabował. W Rosyi nic o tem nie wiedziano. W kilkanaście lat potem rząd petersburski kazał Gołowninowi udać się na wojennym okręcie do Japonii i zawrzeć z nią umowę handlową. Gołownin zawinął do wojennego portu Kunaszyr i był przez Japończyków przyjęty grzecznie, ale ozięble. Miejscowa władza nie chciała wchodzić w żadne z nim układy, lecz wnioski jego posłała do stolicy, a tymczasem dała jego okrętowi wygodne miejsce w porcie i posyłała mu żywność. Pewnego razu Gołownin prawie z całą swą załogą wysiadł na brzeg i zwiedzając miasto znacznie się zagłębił w okolicę. Wówczas otoczyli go Japończycy. „Mali to ludzie i nikli — pisze Gołownin — a my — rosłe chłopy — wyglądaliśmy przy nich jak Guliwer między Liliputami. Traktowaliśmy też ich zgodnie z myślą, która wtedy nam przyszła, że oto damy im po szczutku i wszyscy odrazu przepadną. Wtem, jakby jakimś czarodziejskim sposobem, sami nie wiemy jak i kiedy, znaleźliśmy się na ziemi, spowici raz przy razie mocnymi powrozami, żeśmy się ruszyć nie mogli. Japończycy oświadczyli nam wtedy, że przecie wiemy, iż nie wolno cudzoziemcom wstępować na ich ziemię. Przekroczyliśmy ich prawo, więc za to oni biorą nas do niewoli i zamkną w więzieniu. Ale potem się pokazało, że nie przy swem prawie oni obstawali, lecz podejrzywali, że jestem owym Chwostowem, który przed laty spalił jedną ich wioskę, więc chcieli rzecz zbadać, a potem nas sądzić. Posadzili nas tedy do więzienia, zabrali nam wszystkie rzeczy, nawet drobiazgi. Ale takie tam było więzienie! Wygodny dom, doskonałej żywności więcej niż trzeba, ciągłe zapraszanie na zabawy u ich arystokratów, grzeczność mieszkańców nadzwyczajna i zupełna swoboda. Ale tęsknota nas gryzła, więc postanowiliśmy uciec. Przedarliśmy się w góry i zdawało się nam, że przepadliśmy z oczu Japończykom. Złudzenie! Oni wiedzieli o każdym naszym kroku, tylko się nie pokazywali, bo chcieli wiedzieć, co też zrobimy. Po długich wędrówkach wyszliśmy na brzeg morski i po jakimś czasie znaleźliśmy rybacką barkę, więc zaraz do niej, aby popłynąć do kraju. Wtedy właśnie obstąpili nas Japończycy i oto w okamgnieniu leżeliśmy związani. Japoński naczelnik powiedział nam: „Żeście chcieli uciec, to nic; kto kocha swą ziemię, musi tak robić. Ale chcieliście zabrać rzecz cudzą: barkę ubogiego rybaka. Za to pójdziecie do więzienia". I rzeczywiście zamknięto nas w prawdziwem więzieniu, razem z innymi przestępcami, ale tylko na dwa dni, potem zaś pozwolono nam wrócić do dawnego trybu życia. W tym czasie porucznik z mego okrętu Moor, człek próżny i charakteru słabego, postanowił przejść na japońską służbę i robić karyerę, zaczął zaś od tego, że donosił na nas niestworzone rzeczy, a odsłaniał przed Japończykami jakieś chytre plany rządu rosyjskiego. Lecz japoński gubernator wszystko mi to powiedział, dodając, że tak niegodziwego człowieka mieć oni nie chcą. Nareszcie, nie wiem jakimi sposobami, przekonali się Japończycy, że ja nie jestem Chwostowem i wtedy — po dwóch latach niewoli — wrócili nam wolność. Zwrócili nam wszystkie rzeczy, nawet kawałek zbitego lusterka, dali nam mnóstwo prezentów, uroczyście odprowadzili nas na nasz okręt „Dianę", który znaleźliśmy we wzorowym porządku i zaopatrzonym we wszelką żywność. Odpłynęliśmy, żegnani bardzo serdecznie, a gdyśmy wylądowali w Kamczatce, Moor się zastrzelił".

Taka jest treść pierwszej części dzieła Gołownina. W drugiej, znacznie obszerniejszej, opisuje on Japonię i Japończyków. Między innemi opowiada o nich: „Jest to naród, który w zdumienie wprawi cały świat. Potrzeba tylko iskry, a zapłonie geniusz tego narodu. Japonia podobna jest teraz do Rosyi z czasów przed Piotrem I. Potrzeba jej tylko genialnego władzcy, albo po prostu jakiegoś wstrząśnienia, aby cnoty tego nadzwyczajnego ludu dały cudny owoc. Dużo nad tem myślałem podczas mej niewoli i chociaż podziwiałem Japończyków, jednak gryzłem się przekonaniem, że będziemy mieli w nich kiedyś bardzo niebezpiecznego przeciwnika. Syberya musi mieć wylot na ocean, a Japończycy nie dadzą nam go. Ledwo się przysuniemy do oceanu, oni z pewnością wydadzą nam wojnę. Powiadam „wojnę", a mam na myśli szereg wojen. Nie ma na świecie marynarzy lepszych od Japończyków, nikt bardziej od nich nie gardzi życiem, jeżeli za cenę jego mogą coś dobrego zrobić swej ojczyźnie. Są oni zdolni do największego bohaterstwa. Przewiduję, że będą mieli świetną flotę, a obawiam się, aby jej dobroci na nas nie wypróbowali. Radzę Rosyi nie lekceważyć ich, a śpieszyć się z zajęciem wybrzeży oceanu, bo za lat kilkadziesiąt będzie już za późno".

Trzeba przyznać, że ten p. Gołownin był człowiekiem rozumnym i bardzo przewidującym.

Głos kobiet w kwestyi kobiecej.

Pod takim tytułem wyszła w Krakowie książka, w której same niewiasty wypowiadają swoje zdanie o tem, czego żądają od mężczyzn.

Już przedmowa, napisana przez p. Bujwidową, odsłania wojowniczą treść książki. „Jeżeli poświęcono w tej książce część miejsca teoretycznemu rozpatrzeniu kwestyi kobiecej — oświadcza pani Bujwidowa — zrobiono to dlatego, aby wykazać należycie, jak często i łatwo dochodził człowiek-mężczyzna do absurdalnych sprzeczności, gdy szło o zastosowanie zwykłego pojęcia miłości i sprawiedliwości odnośnie do kobiety, jak męczennicy i bohaterowie idei wolnościowych ogólno ludzkich potrafili być jednocześnie wprost brutalnymi egoistami tam, gdzie szło o wolność kobiety. Ta sprzeczność w pojęciach, ten daltonizm, ta miara podwójna, a często niestety nawet zwyrodnienie moralne w stosunku mężczyzny, mającego w swoim ręku siłę i zdobyte nią prawo do całkowicie bezbronnej kobiety, niestety trwa po dziś dzień."

Trzeba przyznać pani Bujwidowej, iż nie obwija myśli swoich w miękki puch uprzejmości towarzyskiej, że ma odwagę i umie mówić „prosto z mostu", wyraźnie, jasno, szczerze, co należy niewątpliwie do pięknych zalet słowa drukowanego.

Pani Marya Turzyma wyjaśnia co to jest owa: „Kwestya kobieca" wywołująca od pewnego czasu tyle wrzawy.

Zagłębiwszy się w księgach świętych, zawierających tradycye religijne każdej rasy, dowiedziała się p. Turzyma, że wszystkie pierwotne podania, zarówno aryjskie, jak semickie, przechowały pamięć współżycia mężczyzny i kobiety, jako równych i podobnych sobie istot, nazwanych jednako przez Stwórcę mianem człowieka. Dopiero później, po wyjściu człowieka z pierwotnego stanu natury, nastąpił między kobietą a mężczyzną rozdział. Rozdwoiła się dusza i każda część poszła własnemi drogami, coraz dalsza, coraz więcej obca jedna drugiej. Zdaniem p. Turzymy, sprowadzili ten rozłam niefortunny prawodawcy-wojownicy, którzy zajęli miejsce prawodawców-mędrców. „Niewolnictwo kobiety utrwaliło się, kiedy prawo pięści i przemocy postawiono przed prawem rozumu i sprawiedliwości".

Prawodawca-wojownik, spętawszy kobietę, zmusił ją do posłusznej miłości, jako „pan, jako mąż zdradzający, ale niedopuszczający zdrady, jako zdobywca żądający ciała branki, choćby dusza jej była jednym płomieniem nienawiści i pogardy dla niego".

Spętawszy ciało, wojownik-prawodawca „zdeptał i ubezwładnił duszę kobiety, zrobił ją niewolniczą i podłą", aby się nie buntowała. Bezwładną niewolnicę, pozbawioną możności zarobkowania, trzeba utrzymać, trzeba jej dawać jeść. Czynił to wojownik-pan. Niewola: ducha, ciała i chleba okuła kobietę w kajdany, które skrępowały jej ruchy na lat tysiące. Kajdany te ścieśnił swoim kodeksem ostatni wojownik-zwycięzca, Napoleon I. Te sromotne, poniżające godność ludzką kajdany usiłuje stargać kobieta współczesna. Zmierzając do swoich celów, stara się ona wyzwolić duszę, czyli wywalczyć dla niej możność wszechstronnego rozwoju — usiłuje zdobyć niezależność materyalną przez pracę zarobkową — pragnie podnieść ogólny poziom moralny obyczajów i ugruntować rodzinę na prawdzie, szacunku wzajemnym i zaufaniu dwojga ludzi wolnych i równych sobie. Kwestya kobieca więc — zdaniem p. Turzymy — to „walka o duszę, która chce rozwinąć bez żadnych ograniczeń wszystkie swoje władze, to walka o pracę, dającą chleb i niezależność, to walka o miłość, ugruntowaną na swobodzie i uczciwości, za którą nie trzeba płacić niewolą i hańbą."

Szkic historyczny, rzucony przez p. Turzymę, dopełnia p. Bujwidowa artykułem swoim p. t. „Wykształcenie kobiet". Wychodząc z zasady, że współczesny ruch kobiecy jest walką o prawa „człowieka" dla kobiety, człowiek zaś wyróżnia się od innych stworzeń we wszechświecie przedewszystkiem kulturą duchową, stawia p. Bujwidowa na pierwszym planie roboty feministycznej systematyczne zdobywanie praw do kształcenia się we wszystkich kierunkach. Rozumuje ona bardzo logicznie: jeżeli kobieta chce stanąć obok mężczyzny jako współrzędna towarzyszka, jeżeli mu nie chce przeszkadzać, lecz pomagać, powinna się z nim zrównać pod każdym względem, głównie zaś umysłowo. Kobieta dzisiejsza ze sfery, zwanej inteligentną, jest, według p. Bujwidowej, wprost karykaturą człowieka. „Zdegenerowana fizycznie, wypaczona moralnie, niezdolna do żadnego czynu ani inicyatywy, nietylko nie przedstawia samoistnej wartości dodatniej, ale stanowi nawet zawadę i ciężar w życiu mężczyzny". Kobietę dzisiejszą, szczególnie z inteligencyi, trzeba z gruntu przerobić, trzeba wymieść z jej wychowania fałsz i obłudę, jeżeli ma być „człowiekiem".

Mniej więcej to samo, co pp. Turzyma i Bujwidowa, mówi p. Iza Moszczeńska w swojem bardzo dobrze napisanem studyum pt. „Mężczyzna i kobieta". Trochę tylko może dziwnie brzmi w ustach kobiety uwielbienie dla współczesnego prądu indywidualistycznego, który lekceważy i znieważa płeć słabą daleko bezwzględniej od prawodawców-wojowników. Poeci rycerze (trubadorowie) byli tarczą obronną „damy", poeci moderniści zasypują kobietę, jako kobietę, całą górą błota, nienawiści i pogardy. Należy wątpić, czy na tle indywidualizmu, nawet tak optymistycznie pojętego, jak go pojmuje p. Moszczeńska, wyrośnie „kobieta człowiek" w rozumieniu właściwem. Teorya swoją drogą, a praktyka swoją... Bardzo ładnie wyglądają niektóre teorye, których wcielone w życiu rezultaty nie zasługują bynajmniej na nazwę dodatnich. Winna temu oczywiście tylko słabość natury ludzkiej. Uczy historya, że indywidualizm wyrażał się po wszystkie czasy w bardzo pospolity egoizm.

Panie: Turzyma, Bujwidowa i Moszczeńska wyczerpały stronę teoretyczną, zasadniczą kwestyi kobiecej, powiedziały wszystko, co trzeba wiedzieć do zrozumienia owej kwestyi.

Pominąwszy zwykłe, naturalne w chwili „rozterki i walki z przeciwnościami" jaskrawości i przesadne oskarżenia, zwrócone pod adresem mężczyzny, trudno odmówić w teoryi słuszności żądaniom kobiety. Jest ona tak samo człowiekiem, jak mężczyzna, i tak samo, jak mężczyzna, ma prawo do stanowiska i nazwy człowieka ze wszystkiemi tej godności przywilejami. Pod tym względem nie może być już dziś dwóch zdań. Powinniśmy „wyzwolić duszę kobiety", czyli ułatwić jej przystęp do źródeł wiedzy i powinniśmy zdjąć z niej pęta zależności materyalnej, czyli nie krępować rąk, szukających, potrzebujących pracy.

„Wyzwolenie duszy kobiecej" w formie dopuszczania uczennic do wyższych zakładów naukowych odbywa się już powoli, stopniowo

---

7)

Feljeton literacki.

(Ciąg dalszy).

Równie doskonale malują chłopski sposób myślenia i odczuwania sceny poprzedzające śmierć Kuby.

Kuba leży na barłogu w stajni, chory na nogę.

„A Kuba leżał cicho, bo jakoś zrzadka chwytały go bolenia, więc ino nasłuchiwał i rozeznawał, jak się tam zabawiają, a pogadywał z Łapą, któren nie opuścił go ani na chwilę, i pojadali se społecznie Józin placek; albo cmokał na konie i przemawiał do nich; rżały radośnie i odwracały od żłobów łby, a nawet źróbka urwała się z uździenicy i przychodziła do wyrka baraszkować i tulić wilgotne a ciepłe chrapy do jego twarzy.

— Schudłaś, biedoto, schudłaś! — Głaskał ją czule i całował po rozdętych nozdrzach. — Nie bój się, wyzdrowieję rychło, to wnet ci boki podkrzepię, choćby i czystym owsem...

Milknął wnet i patrzył bezmyślnie w poczerniałe sęki, z których sączyły się na ściany żywiczne strugi, niby łzy krwawe i zastygłe...

Słoneczny a przybladły dzień zaglądał przez szpary cichemi oczyma, drzwiami zaś wywartemi buchał szeroki potok jasności skrzącej, migotliwej, jako złote pajęczyny po ścierniskach, w których trzepały się muchy z sennym, omdlałym brzękiem...

Godziny przechodziły za godzinami i wlekły się wolno, jak te dziady ślepe i kulawe, po srogich piaskach idące z utrudzeniem, a w cichości, albo jako ten kamień, co pada w topiel i leci, przepada, ginie, a nawet go oczy człowiecze nie chycą.

Ino czasem, wróble rozświegotane, wrzaskliwą bandą wpadały do stajni i zuchwale rzucały się na żłoby...

— Jakie to zmyślne juchy! — szeptał. — Takiemu ptaszkowi, a Pan Jezus rozum daje, że wie, gdzie pożywienie znaleźć. Cicho Łapa, niech się pożywią i wspomogą biedoty, bo i na nich zima przyjdzie.

Przyciszał, bo pies skoczył wypędzać rabusiów.

Świnie zaczęły kwiczeć w podwórzu i cochać się o węgły, aż stajnia drgała, a potem jęły wtykać w drzwi długie, obłocone ryje i pokwikiwać.

— Wypędź Łapa. Dziadaki jedne, wszyskiego im zawżdy mało!

Po nich kury zakrzekorzyły przed progiem, a wielki, czerwony kogut ostrożnie zaglądał, cofał się, bił skrzydłami i krzykał, aż zuchwale wskoczył za próg, do kobiałki pełnej obroku, a za nim reszta, ale nie zdążyły się jeszcze najeść, bo wnet nadciągnęły rozgęgane gromadą gęsi, z sykiem migotały w progu czerwone dzioby i chwiały się białe, powyciągane szyje.

— Wygoń, piesku, wygoń! Swarzą się juchy, kiej te baby!

Juści, że wnet rozległ się wrzask, pisk, łomotanie skrzydeł, i pióra poleciały kieby z rozprutej pierzyny, bo Łapa nie żałował sobie uciechy, powrócił zziajany, z wywieszonym ozorem i skomlał radośnie.

— Cicho no!

Od domu rozlatywały się gniewne głosy Jagustynki, bieganina i trzaski sprzętów przewlekanych z izby do izby.

— Gotują się do przenosin!

Drogą ktoś niektoś przejeżdżał ale zrzadka, a teraz zasie człapał się z piskiem wóz jakiś; Kuba rozeznawał pilnie.

— Kłębów wóz, w jednego konia z drabinami, pewnie po ściółkę do lasu. Juści, oś w przodku wytarta i bez to się piast przyciera i skrzypi.

Po drogach wciąż snuły się odgłosy kroków, rozmowy, głosy leciały, i drgały ledwie dosłyszane, ledwie odczute brzmienia, ale je chwytał w lot i rozpoznawał.

— Stary Pietras do karczmy idzie — mruczał. — Walentowa wykrzykuje... pewnie gąski czyje przeszły na jej stronę... Piekielnica nie baba! Kozłowa widzi mi się... juści... bieży i krzyczy... juści ona!.. Pietrek Rafałów... rajcuje jucha, jakby miał kluski w gębie... księża kobyła po wodę jedzie, tak... postaje.. zawadza kołami... jeszcze se kiedy kulasy połamie..

I tak se zwolna rozpoznawał wszystko i myślami, i tem widzeniem czującem po wsi chodził, kłopotał się, zabiegał, turbował i żył życiem wsi całej, że ledwie spostrzegł, jak dzień przechodził zwolna; ściany przygasły, drzwi zbladły i stajnia mroczeć poczęła".

Przychodzi organista Jambroży i radzi Kubę wziąć do szpitala, aby mu tam zamputowano nogę. Kuba po odejściu organisty w strachu, żeby go w szpitalu nie męczono, sam sobie siekierą nogę odcina. Zemdlonego zastają Jambroży i Roch, cucą go, Jambroży składa mu nogę i obmywa ranę.

„Roch na klęczkach przyświecał latarnią i modlił się tak gorąco, aż mu łzy ciekły po twarzy, a Kuba ino się uśmiechał radośnie, tkliwo jakoś i rzewnie, jak to dzieciątko w polu porzucone, które nim pozna, że bez matki, raduje się do traw, co nad nim szumią, za słońcem patrzy, do przelatujących ptaszków rączki wyciąga i po swojemu gada ze wszystkiem i cieszy się, tak ci i on czuł się teraz; dobrze mu było, spokojnie i nieboleśnie, a tak na duszy lekko i wesoło, że za nic sobie miał chorobę, ino się z cicha przechwalał... jako siekierę dobrze wyostrzył... nogę ułożył na progu... i dziabnął w samo jabłko... zabolało, ale noga od jednego razu nie puściła.. więc drugi raz dziabnął ze wszystkiej mocy... i oto nic go teraz nie boli, pomogło widać... że niechby tylko miał więcej mocy, to nie gniłby dłużej na wyrku, a na wesele szedł... do tańca się brał... i podjadłby nieco, bo jeść mu się chce..

— Leż spokojnie i nic się nie ruchaj, jadła dostaniesz rychło, powiem Józi.

Roch go pogłaskał po twarzy i wyszli z Jambrożym na podwórze.

— Do rana wykipi, uśnie cicho jak ptaszek, bo krew go całkiem odeszła.

— Xiędza mu trzeba przywieść póki przytomny!

— Kiej xiądz pojechał na wieczór do Woli, do dziedziców.

— Pójdę po niego, zwlekać nie można!

— Do Woli jest mila, po nocy i przez las nie traficie. — Stoją tu gotowe konie ludzi, co mają po wieczerzy odjeżdżać, bierzcie je i jedźcie.

Wyprowadzili konie na drogę i Roch siadł.

— A nie zapominajcie o Kubie, trzeba go przypilnować! — zawołał, ruszając.

— Nie ostawię go samego, nie zapomnę.

Wnet jednak zapomniał, tyle baczył, że Józi powiedział o jadle, a sam wrócił za stół, do butelki mocno się przypiął i tak serdecznie, że rychło o bożym świecie nie wiedział.

Józka zaś, że to poczciwe było dziewczątko, co tylko mogła, nazbierała na miseczkę, wódki w półkwarcie nalała sporo i zaniesła ochotnie.

— Kuba przejedzcie zdziebko, użyjcie i wy wesela!

— Bóg ci zapłać! Kiełbasa widzi mi się, czujna, wieje od niej.

— Dyć umyślnie przyprażałam, byście posmakowali. — Wraziła mu miskę w ręce, bo ciemno było w stajni. — Wypijcie przódzi wódkę.

Wszystko wypił do dna.

— Posiedź zdziebko, tak mi się samemu ckni...

Począł glamać, pogryzać, żuć, ale nie mógł nic przełknąć.

— Weselą się, co?

— Takie wesele, tyla narodu, żem w życiu nie widziała większego.

— Borynowe przeciech, to nie dziwota! — szepnął z dumą.

— Juści, a ociec się tak weselą i cięgiem za Jagusią chodzą, cięgiem.

— Jakże... urodna, piękna na gębie kieby jaka pani dworska!

— Wiecie, a Szymek Dominikowej to się ma do Nastki Gołębianki.

— Stara nie pozwoli, u Nastki z dziesięć gęb siedzi na trzech morgach.

— To też ich rozgania gdzie dopadnie i srodze pilnuje.

— Wójt jest?

— Zabawia drugich i najbardziej pyskuje, a Jambroży także.

— Jeszczeby nie, kiej na takiem weselu są, u takiego gospodarza! Nie wiesz, co u Antków? — zapytał cicho.

— Jakże, skoczyłam do nich na zmroku, dzieciom poniesłam mięsa, placków, to chleba... Z chałupy me wypędził i ciepnął za mną com przyniesła... Zawziął się silnie i taki zły, taki zły... a bieda u nich w chałupie i ten płacz... Hanka ino się kłóci z siostrą, że się już pono i do kudłów brały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

w Europie, „kwestyę“ zaś wyzwolin materyalnych rozwiązuje sama konieczność życiowa. Zmienione, ciężkie warunki ekonomiczne, które dotknęły kobietę bezpośredniej niż mężczyznę, utrudniając zawieranie związków małżeńskich, pchnęły płeć słabą na twardą, ciernistą drogę zarobkowania. Zrobiło się to samo, bez pomocy agitacyi feministycznej. Aby żyć, trzeba jeść, aby zaś jeść, trzeba pracować, jeżeli się nie posiada majątku. Instynkt samozachowawczy jest silniejszy od wszelkich teoryj, nakazów i zakazów.

Mówi p. Moszczeńska, bardzo trzeźwa i rozsądna w swoich poglądach na „kwestyę kobiecą“: „I dziś, tak samo jak przed laty, każda normalna kobieta, jeśli ma sposobność połączenia się z człowiekiem, który jej uczucie obudził, korzysta z niej, uważając to za szczęście większe, niż otrzymanie posady w jakimkolwiek biurze za 30 lub 40 guldenów miesięcznie“.

Oto... Jeżeli ma sposobność... Najszczersze to wyjaśnienie owej praktycznej ruchliwości kobiety współczesnej! Tylko te, które „nie mają sposobności“ złączyć się dozgonnie z kimś ukochanym, utworzyć sobie własne gniazdo, własną rodzinę, własne państewko wśród własnych czterech ścian, tylko kobiety wydziedziczone, skazane na sieroctwo, uważają poniewierkę w biurach i kantorach za szczęście. Bo każda praca przymusowa, maszynowa, jakakolwiekby ona była, utrudza, męczy, brzydnie w końcu. Dźwiga się jej ciężar tylko wtedy, gdy trzeba, gdy nie ma innego wyjścia. Być przykutym przez godzin dziesięć, czasami dłużej, do biurka, do kasy, do stołu sklepowego — nie jest chyba wygraną na loteryi życia.

Zupełnie niepotrzebnie wynoszą feministki naturalną walkę o byt do znaczenia zasady programowej. Słuszne ich w tym kierunku żądania popiera samo życie. Trzeba być nie „wstecznikiem“, lecz wprost ślepym i głuchym na położenie ekonomiczne społeczeństw nowoczesnych, aby odpychać kobietę ubogą, zmuszoną do walki o byt, od warsztatu pracy.

Z tego samego źródła pochodzi w pewnej mierze i dążność do „wyzwolenia duszy kobiecej“, bardzo pożądana przez mężczyznę, jeżeli jest rozumnie pojęta. Nowe warunki ekonomiczne wytworzyły potrzebę innego typu żony, matki, obywatelki i wychowawczyni. Kobieta współczesna powinna być życiowo i społecznie uświadomiona, jeżeli nie ma mężczyźnie zawadzać, jak kula u nogi skazańca.

Pani Bujwidowa nazywa kobietę dzisiejszą ze sfer inteligentnych wprost karykaturą człowieka. Zbyt to może ostre określenie, prawdą jednak jest, iż niewiele panien dzisiejszych ze sfer niezamożnych, a należących do warstw inteligentnych, wnosi do małżeństwa świadomość obowiązków żony, matki, wychowawczyni, pani domu i obywatelki. Mówi się dziś dużo o „niewoli kobiecej“, o „tyranii mężczyzny“ i t. d. W rzeczywistości jednak ma się rzecz wręcz przeciwnie. Nie kobieta ulega, lecz najczęściej mężczyzna, nie kobieta szarpie się w pętach przykrych, lecz t. zw. „pan“, który musi znosić cierpliwie skutki złego, niemądrego wychowania dzisiejszej panny. Niejeden mąż upada pod nadmiernem brzemieniem pracy, męczy się przedwcześnie życiem tylko dlatego, że żona wniosła mu w małżeństwo duszę pustą i umysł dziecka.

Jeśli „wyzwolenie duszy kobiecej“ ma być uświadomieniem kobiety, wpojeniem w nią obowiązków, jakie każdy „człowiek“ ma względem swojej rodziny i swojego społeczeństwa, można temu ruchowi tylko przyklasnąć. Za dużo w naszej inteligencyi „dam“, a za mało kobiet-ludzi.

Inne panie, które pomieściły swoje głosy w *Głosie kobiet*, rozebrały pomiędzy siebie różne żądania i aspiracye kobiety współczesnej. P. Helena Witkowska mówi o „prawach politycznych kobiet“, drka Marya Lipszyc Balsigerowa o „stanowisku kobiety wobec prawa cywilnego“, drka Felicya Nossig o „ekonomicznej stronie kwestyi kobiecej“, p. M. Dulębianka o „twórczości kobiet“, drka Zofia Golińska o „kobiecie-obywatelce“, p. Zapolska o „pięknie w życiu kobiety“, p. Kuczalska-Reinschmidt naszkicowała historyę ruchu kobiecego.

Rozumie się, iż wszystkie te panie wystawiają swojej płci, jej uzdolnieniu, przymiotom, talentom, charakterowi świadectwo jak najlepsze. Byłoby źle, gdyby w studyach, przesiąkłych polemiką, było inaczej. Lichy to szermierz, który nie broni swojej sprawy gorąco, namiętnie. I rozumie się także, iż wszystkie te panie nie oszczędzają „płci mocnej“, „tyranów“, „uzurpatorów“, skubiąc ich, gdzie się tylko da, o co także nie można mieć pretensyi, bo... na wojnie jak na wojnie.

Spór o uzdolnienia polityczne, twórcze, naukowe i społeczne kobiety byłby dziś przedwczesny. „Kobieta - człowiek“ jest jeszcze za młoda, zrobiła za mało, rusza się dotąd w zbyt ciasnem kółku, aby można zmierzyć dokładnie jej sprawność w zawodach, uprawianych dotąd głównie przez mężczyznę. Trzeba być cierpliwym, trzeba czekać. Gdy się ruch kobiecy więcej rozwinie, gdy się większa liczba sił kobiecych wprzęże do pługu pracy szerszej, widocznięjszej, wysnują się wnioski same z faktów oczywistych. Wówczas będziemy wiedzieli, w jakim kierunku może kobieta pracować równie dobrze jak mężczyzna, albo lepiej od niego.

Dziś wystarcza zaznaczyć, że się ruch kobiecy wzmógł w ostatnich czasach, że się uświadomił, że dojrzał, zrozumiawszy, iż tylko kobieta może walczyć skutecznie o prawa, o swobodę kobiety, co wszystkie panie z *Głosu kobiet* podkreśliła.

„*Głosowi kobiet* w kwestyi kobiecej“ należy się pilna uwaga wszystkich, których zajmują prądy chwili obecnej, nigdy bowiem jeszcze nie przemówiła u nas „płeć słaba“ tak wyraźnie i szczerze, jak w tej książce.

Sytuacya.

Wiedeń 29 kwietnia.

(Telegram Przeglądu).

Sytuacya parlamentarna weszła w stadyum krytyczne, gdyż rząd, obstając przy swojem dawnem stanowisku, iż inicyatywa co do sanacyi stosunków parlamentarnych należy nie do niego, lecz do Izby, nie chce uczynić nic takiego, coby można poczytać za pewnego rodzaju presyę, wywieraną na stronnictwa. Doprowadzenie zaś do skutku porozumienia między Czechami a Niemcami, już nie w owych wielkich kwestyach, stanowiących kompleks sporu czesko-niemieckiego, ale nawet w sprawie zarządzeń, niemających związku z owym sporem, lecz zmierzających jedynie do uruchomienia parlamentu, napotyka na wręcz nieprzezwyciężone trudności, pomimo wszystkich wysiłków Koła polskiego. Najsmutniejszem przytem jest to, że właściwie zarówno po czeskiej jak i po niemieckiej stronie istnieje bezsprzecznie dobra wola i chęć uczynienia parlamentu zdolnym do pracy, a jednak mimo to akcya pośrednicząca Koła polskiego rozbija się wciąż o drobiazgi i o wzajemną nieufność, jaką żywią ku sobie Czesi i Niemcy. Oto przed kilku dniami stała sprawa tak, że Czesi decydowali się zaniechać zupełnie obstrukcyi i wycofać wszystkie swe nagłe wnioski, byle tylko na pierwszem miejscu porządku dziennego obrad postawiono sprawę zmiany regulaminu izbowego, a dopiero na drugiem budżet. Ponieważ przestawienie porządku dziennego może się odbyć tylko za zgodą większości Izby, przeto Koło polskie pertraktowało ze stronnictwami niemieckiemi, aby przystały na to, by sprawie zmiany regulaminu dano pierwszeństwo przed budżetem.

Niemcy w zasadzie przyznali, że zmiana regulaminu jest rzeczą bardzo ważną i ostatecznie przystali na to, aby ją postawiono na pierwszem miejscu, ale zarazem chcieli, aby i budżet pozostawiono na pierwszem miejscu. Możnaby zaś ich zdaniem dokonać tego w ten sposób, ażeby izba codziennie odbywała po dwa posiedzenia i na jednem z nich obradowała nad wnioskami w sprawie zmiany regulaminu, a na drugiem nad budżetem. Na to znów nie chcieli przystać Czesi, gdyż nie dowierzają Niemcom i obawiają się, że oni zmiany regulaminu nie będą traktowali szczerze i ostatecznie tak pokierują sprawą, że rząd otrzyma budżet, a zmiana regulaminu zostanie zabagniona,

Wczoraj było prezydyum Koła polskiego u dra Koerbera i naradzało się z nim długo, a jak utrzymują w sferach czeskich, zażądało od niego stanowczo, aby rząd czynnie poparł usiłowania jego co do sanacyi stosunków parlamentarnych przez zmianę regulaminu. Jaką odpowiedź dał dr. Koerber, nie wiadomo, korespondenci pism czeskich donieśli jednak, że ta odpowiedź była niezadowalająca, a więc, że rząd widocznie nie chce zdecydować się na żadną czynną interwencyę, ani porzucać swego stanowiska „po nad stronnictwami“. Ponieważ niepodobna przypuścić, aby członkowie prezydyum Koła polskiego zwierzyli się korespondentom pism czeskich z tego, co im prezes gabinetu powiedział, przeto doniesienia te uważać należy na razie jako dowolne kombinacye.

Popołudniu wczoraj odbyła się wspólna konferencya komisyi parlamentarnej Koła polskiego z komisyami parlamentarnemi klubu młodoczeskiego i związku południowo-słowiańskiego.

Podobno posłowie czescy zamierzają wypracować ultimatum i doręczyć je za pośrednictwem Polaków Niemcom i rządowi. Jeżeli ta ostateczna propozycya ich zostanie odrzucona, w takim razie przyjdzie do zupełnego zerwania nawiązanych nici rokowań.

Rada państwa.

(Telegram Przeglądu)

Wiedeń 29 kwietnia. Na posiedzeniu wczorajszem do godziny kwadrans na 3-cią trwało dosłowne czytanie interpelacyi i wniosków; następnie na żądanie obstrukcyonistów czeskich zaczęły się imienne głosowania. Przy pierwszem głosowaniu, gdy przewodniczący ogłosił, że odrzucono wniosek jakiś 100 głosami, wszczęli czescy radykali hałas. P. Klofacz woła: To nie prawda, nie ma 100 głosów. — Niemcy demonstracyjnie klaszczą. Powstaje ogłuszająca wrzawa. Fresl gwiżdże. Padają obelgi. Wiceprezydent Kaiser zaznacza, że przecież nie sam przewodniczący tylko zapisuje głosy, ale jeszcze dwóch innych posłów. Przy głosowaniu dzisiejszem musiano niektórych posłów po pięć razy wywoływać, zanim odezwali się. (Wrzawa wśród czeskich radykałów).

Prez. Kaiser: Proszę o spokój. — Jeden z posłów woła: Stulcie gęby.

Prez. Kaiser zaznacza dalej, że rezultat głosowania o tyle prostuje, iż nie 100 głosów, lecz 99 oddano przeciw wnioskowi; omyłka zaszła z winy jednego z posłów, który był na sali, ale nie oddał głosu. Zresztą Izba jest w komplecie, w obec tego zarządza drugie imienne głosowanie.

Po przeprowadzeniu 4 imiennych głosowań, przystąpiła izba do dyskusyi nad wnioskiem komisyi nagany. Referent p. Berks motywował krótki wniosek komisyi o udzielenie p. Steinwenderowi nagany za obrazę p. Choca.

P. hr. Sternberg zaznacza, że p. Steinwender swemi słowami dowiódł, iż brak mu wszelkiego taktu. Słowa jego świadczą o moralnym upadku całej burżuazyi i dowodzą, że kultura niemiecka nie stoi bardzo wysoko i nie może ona się utrzymać na tej wyżynie, na której znajdują się tacy posłowie, jak Klofacz, Choc, Fressl i którzy także nie są wzorami przyzwoitości (Wesołość, brawa). Mówca apeluje do prezydenta gabinetu, aby, jeśli mu zależy na tem, aby w parlamencie nie grano komedyi, lecz żeby parlament był zdolnym do pracy, puścił dzisiejszą izbę do domu i ludom Austryi nie dawał sposobności do zepsucia obyczajów przez zły przykład.

Ponieważ nikt więcej nie był zapisany do głosu, przystąpiono do głosowania i 87 głosami przeciw 85, wniosek komisyi odrzucono. (Żywe oklaski na lewicy, głosy: to skandal! z ław radykałów czeskich).

Następnie Izba rozpoczęła dalszą dyskusyę nad wnioskiem o popieraniu przemysłu. Po przemówieniu p. Szramka, o godz. $^1/_2$6-tej obrady przerwano. Następne posiedzenie dzisiaj.

Wiedeń 29 kwietnia. P. Dawid Abrahamowicz złożył mandat członka komisyi przemysłowej.

Wiedeń 29 kwietnia. Subkomitet dla spraw aptekarskich, wybrany przez komisyę sanitarną Izby posłów, uchwalił zwołać dla tej sprawy ankietę, jeśli trwanie sesyi parlamentarnej umożliwi przeprowadzenie ekspertyzy. Uchwalono zwrócić się w tej mierze z zapytaniem do prezydenta ministrów.

Co do składu ankiety, to uchwalono zorganizowanym grupom farmaceutycznym ze względu na ich wielką liczbę przyznać 6 reprezentantów, a nie jak pierwotnie projektowano, dwóch.

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg 29 kwietnia. Korespondent rosyjskiej Ajencyi telegraficznej donosi z Portu Artura pod datą wczorajszą: Dziś w nocy o godz. 1 m. 10 widziano nieprzyjacielskie łodzie torpedowe w towarzystwie japońskich okrętów wojennych. Dały one kilka strzałów, które jednak nie wyrządziły znacznej szkody, poczem wnet oddaliły się w kierunku południowym.

Petersburg 29 kwietnia. Rosyjski komendant Jossen donosi, że dwa kontrtorpedowce rosyjskie zniszczyły dnia 25 b. m. w Gensan okręt japoński „Gojomaru“, pojemności 500 tonn. Cała załoga zdołała się uratować. Tego samego dnia o godz. 8-ej wieczorem Rosyanie wysadzili w powietrze statek japoński „Nakamuramaru“, pojemności 220 tonn. Załoga tego statku również zdołała się uratować.

Następnej nocy o godz. $^1/_2$2-giej parowiec transportowy japoński „Kingcziumaru“, pojemności 4.000 tonn, wiozący środki żywności dla armii japońskiej i 1.500 tonn węgla, a uzbrojony w 4 działa, został wysadzony w powietrze. Z załogi 17 oficerów, 20 żołnierzy, 80 tragarzy i 65 marynarzy poddało się bez oporu i zostali zabrani na pokład statku rosyjskiego. Reszta, która poddać się nie chciała, poszła wraz ze statkiem na dno.

Czifu 29 kwietnia. Przybyły wczoraj z nad Jalu Chińczyk opowiada, że Japończycy obsadzili Kiulenczeng na północ od Andżu, nad rzeką Jalu po stronie mandżurskiej. Dodał, iż tylko mały oddział japoński przeszedł przez rzekę Jalu.

Tokio 29 kwietnia. Biuro Reutera donosi: Japońska kanonierka „Maja“ wjechała z kilkoma torpedami w poniedziałek na rzekę Jalu, dążąc w górę. W poniedziałek i wtorek stoczyło 6 łodzi kilka małych potyczek z wojskiem rosyjskiem, będącem na lądzie.

Petersburg 29 kwietnia. Dowódzcą eskadry czarnomorskiej mianowany został jenerał-gubernator Archangielska, kontradmirał hr. Rymski-Korsaków.

Irkuck 29 kwietnia. Minister komunikacyi ks. Chiłkow przybył tu i po krótkim pobycie pojechał dalej nad jezioro Bajkalskie.

Petersburg 29 kwietnia. *Prawitielstwiennyj Wiestnik*, omawiając głosy prasy rosyjskiej o traktacie francusko-angielskim, a w szczególności o § 6 tego traktatu, dotyczącym kanału Sueskiego, powiada w części nieurzędowej, że ów artykuł 6 zawiera pewną modyfikacyę układu z r. 1888, która dla innych siedmiu państw, podpisanych na traktacie z r. 1887 w sprawie kanału Sueskiego, dopóty nie ma mocy prawnej, dopóki państwa te na nią się nie zgodzą.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 29 kwietnia.

Na początku wczorajszego posiedzenia odczytał r. Lewicki wniosek, wzywający magistrat, aby wypracował projekt przedłużenia tramwaju elektrycznego od wejścia do parku Kilińskiego, aż do bramy placu powystawowego. W uzasadnieniu tego wniosku podniósł mówca, że plac powystawowy staje się jednem z najbardziej uczęszczanych miejsc spacerowych i że grunta miejskie, położone w tamtych stronach zyskają przez przedłużenie tramwaju bardzo wiele na wartości. Linia nowa powinnaby wejść w życie jak najprędzej, aby ułatwić publiczności udział w pierwszym jarmarku wyrobów krajowych, który ma się odbyć na placu powystawowym w bieżącym roku.

Wniosek ten, podpisany przez 40 radnych, przekazano do regulaminowego traktowania.

Potem na interpelacyę r. Ihnatowicza przyrzekł prezydent zbadać, czy prawdziwą jest wiadomość, że w szkole przemysłowej ma się zwinąć dział ślusarstwa artystycznego, a w jego miejsce wprowadzić dział maszynowy.

R. Czarnecki interpeluje, co słychać z próbnym chodnikiem betonowym, który pozwolono ułożyć firmie braci Mund. Wiceprezydent Michalski wyjaśnił, że firma ta dotychczas jeszcze prób nie przedsięwzięła, widocznie namyśliła się inaczej.

Z porządku dziennego referował r. Lisiewicz sprawę długoletniego zatargu między gminą a prof. Jaegermannem o kawałek gruntu na Wysokim Zamku. Prof. Jaegermann swego czasu przesunął grunt o 178 m. kwadratowych na drogę miejską, potem nie chciał tego kawałka oddać gminie, a powstały stąd proces o naruszenie w posiadaniu wygrał z powodów formalnych w pierwszej instancyi. Po wygraniu procesu, zaczął prof. Jaegermann wycinać drzewa na spornej parceli, sąd jednak zakazał mu tej czynności aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy, a gminę odesłał na drogę sądową. Referent wniósł więc, by Rada miejska upoważniła syndyka miejskiego do wdrożenia odpowiednich kroków sądowych.

W dyskusyi radził najpierw r. Czarnecki, by ów grunt raczej od prof. Jaegermanna odkupić, r. Mahl uskarżał się na to, że proces w I instancyi przegrano wskutek zaniedbania terminu i domagał się wytoczenia dyscyplinarki syndykowi, zaś radni Lisiewicz i Reiss usprawiedliwiali magistrat i syndyka tem, że mniemano pierwotnie, iż w danym wypadku lepiej będzie odebrać prof. Jaegermanowi grunt w drodze administracyjnej niż sądowej. Przemawiali jeszcze radni Chołodecki i Wczelak, poczem udzielono syndykowi żądanego upoważnienia.

Potem uchwalono sprzedać za 4372 K. karczmę „Wilczarnia“ w Biłohorszczy p. Ludwigowi, który utrzymuje tam fabrykę makaronów, zaś prawo polowania w lasach miejskich wydzierżawiono lwowskiemu Towarzystwu myśliwskiemu za 1300 koron rocznie na lat 6.

Nastąpiło posiedzenie tajne, na którem między innemi przyjęto wnioski w sprawie spensyonowania radzcy magistratu Uruskiego, z pełnymi poborami emerytalnymi. Zarazem uchwalono rozpisać wewnętrzny konkurs na opróżnioną po radzcy Uruskim posadę, oraz na posadę sekretarza po śp. Dziubińskim, a nadto wezwano prezydyum do poczynienia kroków celem jak najrychlejszego obsadzenia wogóle opróżnionych posad starszych radzców, radzców i sekretarzy w magistracie lwowskim.

Mały feljeton.

Przytomność umysłu.

Mały Serquy i Juliusz Debot albo Bobo, jak go przyjaciele potocznie nazywali, byli co się zowie „wygoleni“ i to od niepamiętnych czasów. Do tego stopnia „niepamiętnych“, iż nie było nikogo, ktoby sobie mógł przypomnieć, że ich widział kiedykolwiek przy pieniądzach.

Różnemi, chociaż równie niezawodnemi drogami, zawitali obaj do portu golizny. Bobo w ciągu kilku lat przegrał i przejadł nie wielki mająteczek, a Serquy nigdy wogóle nic nie posiadał. Troska o jutro nie pozwoliła im pomyśleć o zajęciu. Rodzin ich nie znano, jednak obydwaj bywali w świecie, żyli wesoło, ubrani zawsze według ostatniej mody. Młodzieńcy ci mieli mniej więcej po czterdzieści lat, reputacyą cieszyli się wcale dobrą, chociaż nie taką znowu, jakiej się wymaga od ludzi, wyrokujących w zawiłych kwestyach honoru. Doskonały humor i nie gasnąca nigdy werwa sprowadziły im liczne zaproszenia na obiady i bale, wyrobiły stosunki i powodzenie w świecie. Dzięki przymiotom osobistym wybaczano im ustawiczne „naciągania“, które były dla nich jedynem źródłem dochodu.

„Naciągnięcie“ kogoś pomimo, że jest operacyą finansową, podobną do pożyczki, różni się jednak od niej w zasadzie. Jeżeli n. p. biorąc od kogoś pieniądze, oznaczamy termin spłaty, zaciągamy pożyczkę; jeżeli zaś zwracamy się mimochodem do przyjaciela, znajomego lub obcego z słowami: „Nie mógłby mi pan pożyczyć 50 luidorów?“ albo „dajże mi pan 1000 franków“ — wtedy jest to „naciąganie“, gdyż nie ma mowy o dniu zwrotu pożyczki. Pożyczki rozpowszechnione są na całym świecie, wszędzie jedni od drugich pożyczają, ale „naciąganie“ jest specyalnością Paryża. Zaciąganie długu jest często połączone z wielu przykrościami, zostawia nas w pozycyi poniżającej, daje niejako przewagę nad nami wierzycielowi. Inaczej rzecz się ma z naciąganiem; wykonane z taktem, tak niby od niechcenia, jest rodzajem atencyi dla osoby przez nas upatrzonej.

Bobo i Serquy celowali w tej niebezpiecznej sztuce; uprawiali ją z całą maestryą, na którą się składały wrodzony talent i niepospolita wprawa. Każdy z nich miał swoją odrębną, wypróbowaną metodę. Mały Serquy umiał zawsze uchwycić stosowną chwilę do naciągnięcia. Wiedział kto wygrał, kto dostał spadek, studyował przytem fizyonomię przyszłej ofiary; nie męczył długimi frazesami, w trzech słowach wyjaśniał interes, to też odnosił tryumf za tryumfem. Bobo natomiast udawał zupełnie obojętnego na sprawy pieniężne, ale umiał tak jakoś poprowadzić sprawę, że go formalnie zmuszano do przyjęcia pożyczki. W ten sposób Bobo i Serquy prowadzili życie wcale przyjemne, nie wiedzieli, co to pesymizm i melancholia. Bywały nawet czasy, że żyli wcale nie źle, nawet z pewnym zbytkiem. Szczególnie dobrze im się działo w epokach wielkich obrotów na giełdzie, zbierali wtedy obfite pokłosie.

Ale od pewnego czasu nasi znajomi przechodzili fatalny kryzys; interesa nie szły, a oni byli pierwszemi ofiarami zastoju w handlu i przemyśle. Tydzień cały nie zdarzyła się żadna gratka. To też uczęszczali teraz do podrzędnych garkuchni, udając jeden przed drugim, że tylko ciekawość poznania zwyczajów gminu i chęć zmiany były tego powodem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy stali klienci bohaterów tej opowieści byli albo poza murami Paryża, albo w złych interesach. Blache, jeden z filarów giełdy, mający zawsze co najmniej dziesięć ludwików „na zawołanie“, spłukał się w klubie. Dick przegrał majątek na wyścigach. Podobne nieszczęścia przytrafiły się najpewniejszym ich znajomym. Biedacy nigdy może nie byli w takich opałach.

Nareszcie Bobo, przechodząc swoim zwyczajem dla rekonesansu liczne komnaty klubu, dowiedział się, że młodziutki Boisgenet, stawiający pierwsze kroki w krainie hazardu, miał szaloną „pasę“ z czternastu i że „wygolił“ swoich partnerów na jakie sto tysięcy.

Bobo wrócił natychmiast do domu, położył się spać pełen dobrej myśli, poleciwszy przedtem stróżowi, aby go obudził o godzinie 10-tej rano. O w pół do 11 tej był już u Boisgeneta.

— Pana nie ma w domu — oznajmił mu służący.

Bobo zamruczał coś pod nosem i chciał wyjść.

— Ale wróci przed południem, bo ma gości na śniadaniu.

— No, to poczekam na pana w gabinecie.

I rozsiadł się wygodnie w fotelu, przeglądając gazetę. Nie zdążył jednak przeczytać kilkunastu wierszy, kiedy służący otworzył drzwi i wpuścił nowego gościa... był to Serquy elegancki, wyświeżony, wpadł lekko, jak motylek. Przyjaciele podali sobie ręce, nie mogli się jednak powstrzymać od lekkiego zmarszczenia brwi.

— Jak się pan ma?

— Dziękuję, nie źle, a pan?

— Co się stało, żeśmy pana wczoraj nie widzieli w klubie? — spytał Bobo.

— Owszem, byłem, ale późno; mówiono mi, że tylko co pan wyszedł.

— A...

Milczenie zapanowało po tych słowach.

Bobo i Serquy znali się zbyt dobrze, aby jeden miał jakieś wątpliwości o powodach wizyty drugiego; byli jednak zbyt dobrze wychowani, żeby pozwolić sobie na żarty. Na ustępstwo nie zanosiło się z niczyjej strony, postanowienie naciągnięcia Boisgeneta mieli obydwaj niezłomne.

Zaczęli rozmawiać o rzeczach obojętnych, upłynęło tak przeszło pół godziny, a gospodarz nie nadchodził.

Naraz twarz Boba rozjaśniła się. Zawołał na służącego:

— Czy tylko na pewne pan przyjdzie?

— Tylko co nie widać.

— Dobrze.

Służący wyszedł. Bobo zwrócił się do towarzysza:

— Niech pan sobie wyobrazi, kochany panie... Chciałem panu coś powiedzieć... ale nie, nie powiem... zresztą mogę powiedzieć, znamy się przecież oddawna. Pan dobrze zna Boisgeneta, prawda? Jaki miły chłopak! Otóż miesiąc temu poczciwy Boisgenet pożyczył mi sto ludwików... z serdecznością, z łatwością wprost niepraktykowaną... To też jakem dzisiaj dostał z domu pieniądze, z prawdziwą przyjemnością pomyślałem sobie o chwili, kiedy mu je będę oddawał. Co prawda, każe mi długo czekać na siebie, ale wolę to, jak odkładać do jutra; mógłbym jeszcze przegrać je przez ten czas w klubie... Co za miły chłopak ten Boisgenet!

— Nadzwyczaj miły, odpowiedział Sorquy, a ponieważ oczekiwanie znużyło go, stracił na chwilę przejrzystość umysłu i pomyślał z całą naiwnością: „doskonale się składa, jak mu odda, tem łatwiej będzie pożyczyć, teraz wyjdę, a wrócę po śniadaniu“. Wstał i pożegnał się, tłómacząc się brakiem czasu; Bobo go nie zatrzymywał. Zanim Sorquy wrócił, Bobo, dzięki swojej przytomności, miał już sto luidorów w kieszeni.

Alf. Capus.

KRONIKA.

Lwów 29 kwietnia.

Pomoc dla pogorzelców w Buczaczu. Najjaśniejszy Pan przeznaczył z prywatnych swych funduszów na doraźną pomoc dla pogorzelców w Buczaczu 6.000 koron.

W tym samym celu wyasygowało Prezydyum Namiestnictwa przedwczoraj na pierwszą wiadomość o pożarze na razie 2.000 koron.

Towarzystwo kuchni ludowej w Wiedniu (I Wiener Volksküchenverein) wysłało do bezpłatnego rozdziału między najuboższych dzisiaj 2.000 litrów konserw jarzynowych (soczewicy, ryżu, bobu), a taką samą ilość wyszle jutro i pojutrze. Delegat Towarzystwa przyjedzie dziś wieczorem do Buczacza celem zajęcia się przygotowaniem i rozdziałem tego pożywienia.

Fizykat miejski donosi, że w gminie Rudno w powiecie lwowskim wygasła już epidemia tyfusu plamistego, a w gminach Zimna woda, Kaltwasser i Grzybowice wygasła epidemia szkarlatyny.

Ustawa o biurach pośrednictwa pracy, uchwalona przez Sejm galicyjski, uzyskała sankcyę cesarską.

Śluby Jana Kazimierza. Jutro obchodzić będzie arcybractwo „Królowej Korony Polskiej“, istniejące przy archikatedrze, doroczną pamiątkę wiekopomnych ślubów Jana Kazimierza, które uwiecznił swoim pędzlem Matejko. Łączy się ta uroczystość z ofiarowanym przez arcybractwo do kościoła wspaniałym witrażem, przedstawiającym właśnie obraz, przed którym owe śluby czynił król z rycerstwem i senatem, koronując Matkę Boską jako „Królowę Korony Polskiej“. Pod obrazem, otoczonym winietami świętych, wsławionych cnotami w Polsce, pomieszczono wdzięcznie usymbolizowane: wiarę, nadzieję, miłość, insygnia królewskie, herby Polski, Litwy i Rusi, wreszcie słowa: „Przyjm śluby nasze“, któremi wzmacnia dziś naród wiekopomną chwilę. Rysunek, tworzący harmonijną całość, jest kompozycyą p. Edwarda Lepszego, ucznia Matejki.

Teatr ludowy nabył na własność od p. Adolfa Walewskiego baśń fantastyczną przerobioną z bajki p. t. „Kopciuszek“. Sztuka ta cieszy się w Krakowie ogromnem powodzeniem, czego najlepszym dowodem, że doczekała się 24go przedstawienia. Śpieszą się na nią starsi i dzieci. „Kopciuszek“ wymaga ogromnej wystawy, to też teatr ludowy przenosząc się do sali dawnego Colosseum i uzyskawszy odpowiednią scenę, maszyneryę i efekta świetlne podjął się wystawienia go z ogromnym nakładem. Dekoracye maluje p. Balko, dekorator teatralny, a rekwizyta sprowadzono z Wiednia według wskazówek autora. Kostyumy sprawiono nowe. W przedstawieniu weźmie udział balet złożony z 18 dzieci i cały personal. „Kopciuszek“ wystawiony zostanie w pierwszych dniach maja.

Propaganda trzeźwości. Towarzystwo „Eleuterya“ zamierza urządzać na zebraniach swych niedzielnych szereg odczytów z dziedziny nauki, literatury i sztuki. W tym celu pozyskało udział prelegentów ze świata naukowego i artystycznego i nadal czyni zabiegi w tym kierunku. Każdy wykład ma stanowić odrębną całość. Wykłady rozpocznie w najbliższą niedzielę o godzinie pół do 6 prezes Towarzystwa prof. dr. Benedykt Dybowski opowiadaniem „O Kamczatce“, gdzie przemieszkiwał czas dłuższy jako zesłaniec 1863 roku. Wstęp na wykłady wolny, goście mile widziani. Początek o godz. pół do 6 wieczór.

Z Filharmonii. We wtorek dnia 3 maja 1904 odbędzie się pożegnalny koncert p. Wernera Albertiego, który dwoma swymi występami zdobył niepodzielną sympatyę publiczności i pełne uznanie pracy dzięki nadzwyczajnej objętości skali głosowej, niebywałej łatwości wyrzucania wysokiego C, oraz wytrzymałości głosu.

Z Warszawy nadchodzi wiadomość, że przyzwoita publiczność tameczna ogromnie się obawia, aby ajentom policyjnym nie udało się stworzyć rozruchów w dniu 1 maja. Podobno rozwinęli oni ogromną agitacyę w tym kierunku i dzięki ich zabiegom centralny komitet robotniczy polskiej partyi socyalistycznej wydał i w tysiącach egzemplarzy rozrzucił po Warszawie odezwę, napisaną stylem bombastycznym, a wzywającą towarzyszy i towarzyszki, aby w dniu 1. maja urządzili jak największe demonstracye. Odezwa ta zawiera naprzykład między innemi taki ustęp:

„Pierwszego maja lud pracujący Polski i Litwy da wyraz swej nienawiści do caratu, do jego ohydnej, zaborczej polityki, której skutkiem jest obecna wojna. Pierwszego maja lud pracujący zaświadczy, że i on szykuje się do wojny, ale do świętej wojny o wolność polityczną i niepodległość narodową. Pierwszego maja lud pracujący pokaże caratowi, że jest jego groźnym „wrogiem wewnętrznym“, że świadom jest praw swoich i umie o nie walczyć! Pierwszego maja lud pracujący Polski i Litwy wyrazi swą solidarność z proletoryatem całego państwa rosyjskiego, walczącym przeciwko niewoli. Pierwszego maja podniesie swój głos, aby powiedzieć, że walczy o taki ustrój, w którym nie będzie grabieży, wojny i ucisku narodowego, w którym wolne narody bratnim połączą się stosunkiem. Towarzysze i towarzyszki! W miastach i po wsiach, demonstracyami, zebraniami, wywieszaniem czerwonych sztandarów i wszelkimi innymi sposobami — śmiałością i energią w wystąpieniach — upamiętnijcie tegoroczne święto majowe!“

Owóż na lep takich frazesów łatwo zawsze wziąć można nierozważną a zapalną młodzież, a ajenci Czertkowa dobrze to przewidzieli. Więc jeżeli rozruchy wybuchną, jeżeli tłumy zgromadzą się na ulicach i zaczną demonstrować, to krew się niezawodnie poleje i wiele rodzin opłakiwać będą ofiary złożone na ołtarzu bezczelnej agitacyi policyi rosyjskiej. Przyzwoita publiczność pragnie więc w Warszawie jednej teraz tylko rzeczy. Oto, aby w niedzielę od rana lał deszcz i była taka niepogoda, żeby nawet największym przyjaciołom demonstracyj ulicznych odeszła ochota od ich urządzania.

Polemika o zjadliwą piosnkę. Zanotowaliśmy niedawno, że Tow. szkoły ludowej wydało broszurę p. t. „Pieśni narodowe, które umieć na pamięć i śpiewać powinien każdy Polak“, i że między siedmioma pieśniami, stanowiącemi według autorów tej broszury, ewangelię patryotyzmu polskiego, jest wstrętna pieśń, zaczynająca się od słów: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem“, a wzywająca do rzezi szlachty. Owóż teraz Towarzystwo szkoły ludowej nadsyła nam pismo, w którem usprawiedliwia się bardzo naiwnie z pojawienia się tak zjadliwej piosnki w owej broszurze. Powiada mianowicie, że to nie całe Towarzystwo szkoły ludowej wydało tę broszurę, tylko jedno jego Koło, noszące nazwę Koła imienia Kościuszki, że więc przeto nie może spadać hańba tego czynu na całe Towarzystwo, a tylko na owe Koło. Ale przecież całe Towarzystwo szkoły ludowej żadnym aktem nie zaprotestowało przeciw zamieszczeniu owej zjadliwej piosnki w broszurze, mającej być ewangelią patryotyzmu polskiego. Owszem milczeniem przyjęło wydanie tej broszury, a więc się zgadzało z jej treścią na podstawie zasady *qui tacet consentire videtur* (kto milczy ten się zgadza).

My zaś z naszej strony wyraziwszy wielki żal, że w Towarzystwie szkoły ludowej mogą istnieć żywioły, kierujące się tak niskiemi uczuciami jak nienawiść do pewnej części narodu i chęć jej mordowania, zapisujemy ten fakt, że Towarzystwo szkoły ludowej ma odwagę przyznać się, iż ono nie brało udziału w układaniu owej ewangelii patryo-

tyzmu, ale nie ma odwagi potępić tych, którzy wśród naszego społeczeństwa szerzą patryotyzm nienawiści.

† **Michał Starycki**, dramatopisarz ruski, umarł w Kijowie. Starycki urodził się w 1840 r. we wsi Kliszczyńcach, w gubernii połtawskiej. Tłómaczył bardzo dużo utworów z literatury polskiej, angielskiej, niemieckiej, francuskiej, oraz rosyjskiej na język ruski, jakoteż pisał libretta do oper i operetek, do których muzykę dorabiał jego szwagier Łysenko. Najpopularniejszą z tych operetek jest znana p. t. „Oj ne chody Hryciu na weczernyciu“.

O uwięzionym adwokacie dre Józefie Orłowskim krążą pogłoski w kołach sądowych, że zażądał on sam zbadania swego stanu umysłowego przez psychiatrów, wyrażając zapatrywanie, że „człowiek, przez którego ręce przeszły miliony, a który nic nie ma, musi być umysłowo chorym“. Jeżeliby się pogłoska sprawdziła, w takim razie byłaby ona wskazówką, jakiej taktyki dr. Orłowski zamierza się trzymać w czasie rozprawy sądowej.

Milionowa defraudacya. Dyrektor banku kredytowego w Nizzy, Diraux, uciekł, sprzeniewierzywszy 2 miliony franków. Poszkodowani są przeważnie ludzie z drobnych sfer mieszczańskich. W kasie banku znaleziono 100 fr.

Morderstwo. W Petersburgu dnia 22 bm. w biały dzień w godzinach pomiędzy 2 a 4 przy ulicy Dworcowej zabito toporem żonę jenerała Sztrandmana. Nadto zamordowano lokaja. Zbrodniarze nie zostali dotychczas wyśledzeni.

Z Kochawiny nam piszą: W ostatnich dniach byliśmy tu świadkami i zarazem uczestnikami miłych bardzo uroczystości. Oto czcigodny X. proboszcz, Jan Trzopiński, który w ubiegłym roku w obrębie swej parafii urządził dwie nowe tak zwane ekspozytury polskie, to jest w Jajkowcach koło Żurawna i Daszawie, zaprosił do tego, który je obydwie obsłużył kapłanami polskimi (a to Jajkowce objęli OO. Franciszkanie, a Daszawę OO. Salezyanie), sprawił tym nowym osadnikom polskim w tych miejscowościach uroczyste wspólne „święcone“.

Przybył naprzód do Jajkowiec wszystek kler kochawiński i odbyło się przedewszystkiem nabożeństwo dziękczynne za łaski i dobrodziejstwa, otrzymane w ciągu ubiegłego pierwszego roku od chwili kolonizacyi. Podczas tego nabożeństwa osobna kapela wiejska, złożona z osadników w Jajkowcach, którym X. proboszcz sprowadził instrumenta muzyczne i nadał kapelmistrza, odgrywała z nut odpowiednie pieśni. Gdyśmy się następnie zebrali na „święcone“ na plebanii, przemówił X. proboszcz, życząc wesołego Alleluja osadnikom i zachęcając ich do pracy i miłości wzajemnej, oraz do jedności. W odpowiedzi na te słowa jeden z kolonistów, zacny starzec, dał wyraz wdzięczności całej kolonii dla X. proboszcza, otaczającego bez przerwy wszystkich kolonistów, zebranych z różnych wiosek zachodniej Galicyi, ojcowską prawdziwie pieczołowitością. Poczem spożyli wszyscy wspólne „święcone“ i pokrzepili się skromną przekąską i poczęstunkiem, a uradowani z łaskawości dla nich wszystkiego kleru, rozeszli się do domów swych, gdzie ich — był to dzień roboczy — czekały już pilne zajęcia gospodarskie. Przy pogodnym dniu kapela popisywała się znowu licznymi marszami i tańcami ludowymi utworami.

W kilka dni później odbyło się wspólne święcone w Daszawie. Tutaj dla upamiętnienia instalacyi OO. Salezyanów, którzy tam objęli duszpasterstwo, miała miejsce pierwsza adoracya N. Sakramentu z odpowiednią nauką. Tę ostatnią wygłosił miejscowy superyor O. Jan Świerc, Salezyanin, a po sumie odbyła się uroczysta procesya po gazonie dawnej rezydencyi, oraz poświęcenie i oddanie parafian pod opiekę N. Serca P. Jezusa i solenne „Te Deum“. Poczem X. proboszcz Trzopiński, podobnie, jak w Jajkowcach, spożył z osadnikami jako święcone i przemówił do serca do kolonistów, zachęcając ich do cnót i praktyk, dla ludu polskiego w tych stronach najodpowiedniejszych. Następnie X. proboszcz z X. superyorem Świercem udali się do mieszkania proboszcza dla złożenia mu życzeń z okazyi świąt wielkanocnych, przyczem znowu kapela jajkowiecka, jak podczas całego nabożeństwa, tak i teraz, czynny brała udział.

Gdy to się działo, miła niespodzianka uradowała wszystkich. Oto przybyli ze Stryja umyślnie na to święcone dwaj panowie: książę Swidrygiełło, właściciel dóbr Błonie i X. profesor gimnazyum W. Dziedzic. Pierwszy z nich, widząc niezwykle podniosły nastrój wśród parafian daszawskich, zabrał publicznie głos i wypowiedział do włościan dłuższą przemowę. Uwydatnił w niej różnicę, jaka w krótkim czasie zaszła w Daszawie, zachęcał kolonistów do kroczenia razem z obywatelstwem, „bośmy — rzekł — wprawdzie dwa stany, ale należące do jednego narodu“ i dodał wreszcie, że lud polski, tu osiadły, może zawsze liczyć na pomoc i wpływ braci obywateli ze stanów wyższych. Na dowód tej życzliwości ofiarował książę Swidrygiełło 20 wagonów kamienia pod budowę nowego kościoła w Daszawie. Ofiarą tą porwał mówca za serce wszystkich daszawskich mazurów.

Po południu uroczyste nieszpory z przepiękną nauką miał X. profesor Dziedzic, a na zakończenie odbyło się jeszcze wieczorem przedstawienie dwu utworów scenicznych pod kierunkiem WW. Siostr Rodziny Maryi, prowadzących tu szkółkę polską. Tendencyą tych utworów scenicznych było wpoić w serce ludu polskiego: unikanie pijaństwa i podszeptów szatańskich, tudzież utrzymywanie i pielęgnowanie w dzieciach miłości i czci dla swych rodziców, choćby ci nosili na sobie siermięgę włościańską. *X. E. B.*

Zamach na policyantów w Warszawie. Wiedeńska *Neue Freie Presse* otrzymała z Warszawy telegram donoszący o zamordowaniu dwóch urzędników policyjnych w Warszawie, który powtarzamy tu w dosłownem tłumaczeniu:

„Wczoraj 27 bm. o godzinie 4 po południu, na adjunkta szefa tajnej policyi, na adjunkta komisarza policyi i na dwóch żołnierzy policyjnych, w chwili gdy wchodzili do pewnego domu przy ulicy Dworskiej, napadła banda ludzi, uzbrojonych w noże i rewolwery. Obaj komisarze zostali zabici, jeden z żołnierzy policyjnych został ciężko, drugi lekko zraniony. Czterech uczestników zamachu aresztowano“.

Wizyta u gejsz. Jeden z rodaków naszych, bawiących teraz w Tokio, tak opisuje wizytę swą w domu gejsz pierwszorzędnych: „Kiedyśmy szli, ja i mój przyjaciel, po ciemnych i wąskich uliczkach Tokio, gdzie domy mieszkalne bezładnie rozrzucone, widziałem się w mych marzeniach w sali rzęsiście oświetlonej, na stosach poduszek przy wonnej herbacie, podanej mi przez uroczą, żywą Chryzantemę; obok mnie spoczywały towarzyszki jej, Irys i Lotos, pląsały w pozach namiętne bachantki japońskie o mistycznych oczach; to znowu urocza Musme, oparłszy się na mojem łonie, oświadczała mi (naturalnie mimicznie), że żyć beznie nie może, że...

Wreszcie przez ciemne podwórko doszliśmy do jakiejś ściany; rozsunęła się ona natychmiast. Mieliśmy przed sobą zwykły pokój japoński, dobrze oświetlony kilku lampkami. Zdjąwszy buty (jestto rzecz obowiązkowa przy wejściu do domu japońskiego), usiedliśmy na tatami. Przewodnik ulotnił się gdzieś, za sąsiednią ścianą słychać było szepty, stłumiony śmiech, brząkanie na strunach jakiegoś instrumentu; przeszło kilka minut, a nikt się nie pokazywał; szepty nawet ucichły, natomiast tuż przy mnie, za ścianą ruchomą, dało się słyszeć jakby chrobotanie myszy. Szybko odsunąłem ramę i znalazłem się bec à bec z trzema dziewczynami, które przyglądały się nam przez szpary; na razie stropiły się nieco, lecz ośmielone uśmiechem, weszły do sali, złożyły nam przepisany ukłon, padając na twarz i usiadły naprzeciwko; po chwili przyszło jeszcze kilka i otoczyło nas półkolem. Przyjrzałem się im kolejno; było kilka znośnych buziaków, ale wszystkie srodze umalowane; jaskrawe kimono, które w Japonii noszą prawie wyłącznie giejsze, nadawały im pozór lalek. Zwracały uwagę dwie dziewczynki w wieku 8—10 lat. I one również należały do trupy, wykonując te same role.

Przyniesiono poczęstunek — herbatę, ciastka, pomarańcze, khaki, rodzaj jabłek. Gejsze częstowały nas nader gościnnie, szczebiocąc coś zachęcająco, skupiając się przy nas coraz ciaśniej. Naturalnie starałem się obudzić w sobie nastrój odpowiedni do sytuacyi; nie szło mi jednak, a przeszkadzała bagatelka przecie — oto byłem bez butów, a nigdy nie zdarzało mi się zagajać flirtu w podobnych warunkach.

Potem rozpoczęło się widowisko. Dwie gejsze zaintonowały powolną piosenkę, akompaniując sobie na płaskich, okrągłych gitarach, dwie zaś uzbroiły się w bębenki i wykonały jakąś scenę mimiczną; przechylając się na wszystkie strony, gestykulowały one, klękały, a z miejsca ani rusz. Niekiedy, gdy muzyka odzywała się żywszem tempem, pozy i gesty silniej były akcentowane, a nogi, obute w krótkie, białe skarpetki, wykonywały ruch do góry, ani razu jednak tego, cośmy widzieli, nie mogłem nazwać tańcem. Potem jedna z dziewczynek otworzyła za pomocą odpowiednich masek scenę bardzo popularną na arenie życia, t. j. trójkąt małżeński; przyznać muszę, że nieletnia artystka wykazała gruntowną znajomość póz plastycznych, akcentując je nieraz zbyt jaskrawo; po małej przerwie stanęły w szeregu cztery artystki, i znowu zaczęła się scena mimiczna, niby taniec, pozbawiony zupełnie wdzięku, bo dreptanie w miejscu z nogami do środka wykręconemi, w kimono tak długiem, że leży ono na ziemi ze wszystkich czterech stron, w żaden sposób nie mogło mi się podobać; przytem muzyka monotonna, uboga w treść i formę, obniżała jeszcze bardziej nastrój.

Syci wrażeń, a raczej odarci ze wszelkich złudzeń, pożegnaliśmy gejsze, nie doczekawszy się nawet ukończenia połowy programu. Na ostatku kazano nam zapłacić za owe rozkosze bajeczną na stosunki miejscowe cenę — dwudziestu pięciu dolarów, to jest 125 koron.

Z kolei. Z dniem 1 maja b. r. zmienia się na szlaku Lwów-Itzkany w obrębie c. k. Dyrekcyi kolei państw. w Stanisławowie nazwę dotychczasowej stacyi „Nowosielce szlacheckie“ na „Zurawno-Nowosielce“.

Najlepsze korespondencye z placu boju. Znany fejletonista Ernest Blum w swoim *Jounal d'un vaudevilliste* pisze następującą satyrę na „korespondencye z placu boju“:

„Podczas wojny krymskiej odwiedził mnie mój przyjaciel dziennikarz i oznajmił, że redakcya pewnego pisma wysyła go na plac boju i że mu wypłaciła na ten cel znaczną sumę. W kilka tygodni potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, spotykam go w wesołem towarzystwie, idącego do pierwszorzędnej restauracyi. Nie wierząc własnym oczom, wydzieram kartkę z notatnika i piszę: „Czyś to ty? Jeżeli tak, to zaproś mnie. Jeżeli nie ty — przepraszam pana za pomyłkę, wywołaną niesłychanem podobieństwem.“ Słowa te posyłam przez kelnera. W odpowiedzi, czytam: „To ja. Milczeć. Przyjdź do nas na kolacyę. Zamówiłem wszystko to, co lubisz“.

Naturalnie, idę.

— Jakto? — wołam — ludzie rozchwytują twoje korespondencye z Krymu, a ty je piszesz w *cabinet particulier?*

— Wierzaj mi, że to daleko weselej i — bezpieczniej.

— Ale skąd czerpiesz swe wiadomości?

— Przepisuję to, co czytam w innych dziennikach, a że mam dokładną mapę Krymu, dopełniam reszty — wyobraźnią. Najlepiej sądzi się o rzeczach z oddali.

W imię prawdy muszę dodać, że ze wszystkich sprawozdań, korespondencye mojego przyjaciela były najciekawsze i miały największe powodzenie, a po ukończeniu wojny redaktor wypłacił mu dodatkową gratyfikacyę.

Przekonawszy się, że to dobry system, po wybuchu wojny meksykańskiej prosiłem tego samego redaktora, aby mnie wysłał na plac boju, mając zamiar urządzić się tak samo, jak korespondent z Krymu; ale moja osoba nie wzbudziła zaufania. Wyprawiono kogo innego. Ten pojechał naprawdę i — został za to ukarany. Gdy z wojny powrócił, redaktor wypłacił mu — połowę obiecanej sumy. Taka jest sprawiedliwość ludzka wogóle, a redaktorska w szczególności.

Mrozy na Syberyi. W dniu 24-ym bm. termometr Celsiusa wskazywał w Omsku +1·8, w Tomsku +0·7, w Irkucku —6·0, w Czycie —5·0, w Nikołajewsku —1·7, na Sachalinie —0·0 i we Władywostoku +5·8 stopni.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 5. w poł. + 10. Bar. 766. Podnosi się. Pochmurno.

Rentujący się trud.

Lichwiarz procent ściągając
Nad tem się rozwodził,
Jak wielki trud ponosi,
By ludziom wygodził.
Dobroczyńcy onego
Ktoś słysząc lamenty,
Rzekł: nie wiem, co tam większe,
Czy trud, czy procenty?

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś po raz pierwszy „Doktor Rentlow,“ dramat w 3 a. przez Michalinę Schwarzównę, oraz jednoaktówka Rydla — W sobotę „Gejsza“, operetka Sidney Jonesa. — W niedzielę popołudniu „Posłaniec nr. 6666,“ operetka Ziehrera; wieczorem „Eros i Psyche,“ fantazya dramatyczna J. Żuławskiego. — W poniedziałek „Lysistrata,“ operetka Linckego, oraz „Cavalleria Lwowiana,“ parodya muzyczna B. Zeplera.— We wtorek „Wesele,“ dramat St. Wyspiańskiego.

Filharmonia. We wtorek 3 maja pożegnalny koncert znakomitego śpiewaka p. Wornera Albertiego.

Colosseum. Ostatni program w tym sezonie: Obrona Port Arthuru i wojna japońsko-rosyjska na lądzie; uratowanie rozbitków — sensacyjne obrazy bioskopowe. 6 wesołych kumoszek, atrakcya muzyczno-akrobatyczna. Melini, czarna tajemnica? — 10 nowych widowisk. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Trupa francuska, na czele której stoją dwie gwiazdy, p. Le Bargy i panna H. Roggers, wystąpiła wczoraj w teatrze naszym i odegrała dwie sztuki Henryka Lavedana: jako *lever du rideau* bardzo subtelną jednoaktówkę pt. „Cotillon“, a następnie 3-aktową komedyę „Markiz de Priola“, sztukę świetnie graną u nas w roku zeszłym, przyczem rolę tytułową odtworzył p. Kamiński. Owóż p. Le Bargy inaczej pojmuje tę rolę, niż nasz znakomity artysta, a nie możemy powiedzieć, żeby szczęśliwiej od niego. Przeciwnie zdaje nam się, że ta postać, jaką stworzył p. Kamiński, tj. postać satyrycznego, zimnego lubieżnika, niezdolnego do żadnych porywów, bardziej odpowiada intencyom autora. P. Le Bargy traktował markiza de Priola, jako namiętnego i gwałtownego człowieka, który unosi się z wielką łatwością; w całem swem zachowaniu się zdradza ogromnie sangwiniczny temperament. Takie traktowanie zupełnie usprawiedliwia ów atak apoplektyczny, którego ofiarą pada markiz de Priola i który służy autorowi za bardzo dobrą sposobność rozwiązania sztuki i pretekst do spuszczenia kurtyny, ale ma w sobie rozmaite inne niebezpieczeństwa, przedewszystkiem zaś to, że p. Le Bargy od początku do końca nie był margrabią de Priola, ale zwykłym sobie bulwarowiczem paryskim, pochodzenia mieszczańskiego, przyzwyczajonym do klepania swoich przyjaciół po brzuchach w chwilach dobrego humoru i oczywiście do manier, ruchów i sposobu życia takich, jakie w sferach mieszczańskich są zupełnie usprawiedliwione.

Za to całe uznanie należy się pannie Roggers. Ta gwiazda z teatru „Gymnase“ jest naprawdę artystką wielkiego stylu. Włada ona mimiką po mistrzowsku i ma głos przecudny, bogaty w tak piękne odcienia tonów, że wyraża nim wszystkie przejścia serdeczne, do jakich ją zmusza autor. Gra jej jest pełna dystynkcyi i niesłychanie subtelna. W najbardziej dramatycznym momencie, w którym artystka ma zaznaczyć szaloną irytacyę, gniew, oburzenie, wstyd i inne gwałtowne uczucia, panna Roggers tak zupełnie pogardzała tuzinkowymi sposobami wyrażania uczuć, jakiem jest n. p. mięcie i darcie chusteczki w kawałki, a takie bogactwo rozwinęła środków aktorskich wyższego rzędu, że iluzya była zupełna, iż ma się przed sobą kobietę, miotaną uczuciami, a nie aktorkę, która je tylko chce dać do poznania.

Niektóre dzienniki wiedeńskie przyniosły były przed paru dniami bardzo złośliwe recenzye o tej trupie francuskiej, utrzymując, że składa się ona z samych trzeciorzędnych artystów. Jest to zupełna nieprawda. Trupa jest dobra, może parę osób podrzędnych można byłoby zmienić, ale zresztą wszyscy grają bardzo dobrze i są to artyści zupełnie rutynowani.

Teatr był zaledwie do połowy zajęty, przeważnie przez sfery towarzyskie, było bardzo dużo wojskowych; świat finansowy nie dopisał zupełnie. Drugie piętro i galerya były całkiem puste.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 kwietnia.

(Z.). Nowa pożyczka rosyjska wytwarza komplikacye w wysokim stopniu nieprzyjemne dla rządu rosyjskiego. Najnieprzyjemniejszą i w skutkach swych najniebezpieczniejszą jest ta okoliczność, że od chwili, gdy rozeszła się wiadomość, iż Rosya zaciągnie teraźniejszą pożyczkę w 5-procentowych bonach skarbowych, publiczność francuska zaczyna tłumnie sprzedawać 4-procentową rentę rosyjską. Skutkiem tych sprzedaży obniżył się w ostatnich dniach kurs tej renty o przeszło 2%. Wogóle można skonstatować, że ta nowa pożyczka o wiele szkodliwiej oddziaływa na kurs papierów rosyjskich, niż wszystkie dotychczasowe klęski, poniesione przez Rosyę.

Minister finansów p. Kokowcew zirytowany jest podobno niesłychanie wiadomościami z Paryża, że na giełdzie tamtejszej wystawiają codzień większe partye renty rosyjskiej na sprzedaż i dlatego postawił bankom francuskim, z którymi zawarł układ, dodatkowy warunek, ażeby najmniejszy z bonów skarbowych, z jakich składać się będzie nowa pożyczka rosyjska, opiewał na 25.000 franków. Chce on w ten sposób nie dopuścić do tego, ażeby drobni kapitaliści francuscy, posiadający po kilka lub kilkanaście tysięcy franków renty rosyjskiej, sprzedawali ją w tym celu, aby nabywać nowe bony rosyjskie, przynoszące 5%. A właśnie tata spekulacya odbywa się we Francyi i drobni posiadacze renty rosyjskiej łakomią się na tę różnicę procentu i dlatego sprzedają ją. Banki francuskie, a przedewszystkiem „Credit Lyonnais“ nie chcą nic nawet słyszeć o tym dodatkowym warunku p. Kokowcewa, aby najmniejszy bon opiewał na 25.000 franków.

Także warunek, postawiony przez ministra finansów Rouviera, ażeby wypłatę pożyczki rozłożono na cztery raty, z których ostatnia płatna ma być dopiero w styczniu 1905, napotyka na stanowczy opór zarówno ze strony Kokowcewa jak i banków, należących do syndykatu, zaś powodem tego oporu jest to, że podobno porozumiał się ów syndykat z p. Kokowcewem co do tego, że jeżeli armia rosyjska odniesie jakiś znaczniejszy sukces na teatrze wojennym, w takim razie syndykat ów wypuści na targ jeszcze jedną pożyczkę rosyjską.

Z Petersburga donoszą, że wszystkim rosyjskim firmom handlowym w Syberyi wschodniej i Mandżuryi przyznano moratoryum aż do ukończenia wojny. Zobowiązania finansowe tych firm wynoszą przeszło 80 milionów rubli.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Wiedeń 29 kwietnia. Pod przewodnictwem hr. Jarosława Thuna odbyło się tu pierwsze doroczne walne zgromadzenie austryackiej ligi antipojedynkowej. Po powitaniu zebranych przez przewodniczącego, zabrał głos ks. Loewenstein, przewodniczący ligi antypojedynkowej w Niemczech, i podniósł, iż liga niemiecka wzorowała się na austryackiej i liczy już 1500 członków. Ks. Jerzy Czartoryski powitał zebranych imieniem ligi antypojedynkowej w Galicyi i podniósł, iż liczy ona 400 członków i w wielu wypadkach już interweniowała. Następnie przystąpiono do obrad i w myśl opinii, wyrażonej przez ministerstwo wojny, zmieniono §§ 10 i 11 statutu ligi w ten sposób, by mogli do niej przystąpić także oficerowie nieczynni.

Wiedeń 29 kwietnia. Na wystawie spirytusowej ukonstytuowała się onegdaj międzynarodowa jury. W grupie jurorów dla zastosowania spirytusu w przemyśle chemicznym wiceprezydentem grupy mianowano prof. Gustawa Steingrabera z Krakowa.

Rzym 29 kwietnia. Cesarz Wilhelm, wyjeżdżając z Włoch, wysłał do prezydenta gabinetu Giolittiego depeszę, w której dziękuje mu za zarządzenia, wydane celem ułatwienia i uprzyjemnienia mu podróży.

Neapol 29 kwietnia. Wczoraj o godzinie ½3-ciej popołudniu przybył tu król Wiktor Emanuel z prezydentem Loubetem. Przybywszy do pałacu królewskiego, dziękowali obaj publiczności za gorące przyjęcie.

Wieczorem odbył się obiad galowy, na którym Loubet w toaście wygłoszonym dziękował parze królewskiej i ludności za okazałe przyjęcie. Król w odpowiedzi wzniósł toast na cześć armii francuskiej.

Karlsruhe 29 kwietnia. Wczoraj przybył tu cesarz Wilhelm. W odpowiedzi na powitanie ministrów oświadczył on, że jest zupełnie wyleczony i wyraził przekonanie, że pokój powszechny będzie utrzymany.

Witebsk 29 kwietnia. W pożarze miasta spłonęło 177 domów, przeważnie ubogiej ludności. Szkoda wynosi pół miliona rubli. Pogorzelcy obozują pod gołem niebem.

Budapeszt 29 kwietnia. Z okazyi postanowienia, aby zwłoki Rakoczego sprowadzono do Węgier, rada miejska uchwaliła powitać Cesarza Franciszka Józefa uroczyście w dniu przybycia Jego C. M. do Pesztu, tj. d. 2 maja. W uroczystości tej weźmie udział młodzież uniwersytecka. Miasto będzie udekorowane.

Cherbourg 29 kwietnia. Trybunał marynarki wstrzymał śledztwo przeciw podejrzanemu o szpiegostwo funkcyonaryuszowi ministerstwa marynarki Martinowi.

Kaługa 29 kwietnia. W pobliskiej wsi Masalsk wybuchł pożar i zniszczył całą wieś. Szkoda wynosi około 500.000 rubli.

(Depesze popołudniowe).

Ateny 29 kwietnia. Według oficyalnego doniesienia grecki rząd poprosi posłów obcych mocarstw w Konstantynopolu o poparcie reklamacyi greckiego posła w sprawie zajścia w Smyrnie.

Bytom 29 kwietnia. Tutejszy bank ludowy odbył onegdaj zebranie doroczne. W porównaniu z rokiem poprzednim wzrósł obrót bankowy o 2 miliony marek, suma oszczędności o 710.000 m., suma pożyczek o 591.000 m. Fundusz rezerwowy, zebrany w ciągu 8½ lat wynosi 224.305 marek.

Petersburg 29 kwietnia. W odpowiedzi na adres szlachty charkowskiej, w którym wyrażono obawę, że przez reorganizacyę miejscowej administracyi, szlachta, powołana wolą monarchy do czuwania nad oświatą ludu, utraciłaby mogła swe dawniejsze znaczenie, odpisał car własnoręcznie: „Wyrażone obawy są zupełnie nieuzasadnione. Szkoła ludowa musi stać pod czynnym kierunkiem państwa. Jednakże najlepsze siły miejscowe ze szlachtą na czele powinny nadal poświęcać szkole swą opiekę“.

Warszawa 29 kwietnia. Pod przewodnictwem Czertkowa odbyło się posiedzenie komitetu, na którem rozwiązano ostatecznie sprawę zatwierdzenia programu konkursu, mającego być ogłoszonym na projekt teatru rosyjskiego i biblioteki publicznej z salami na zgromadzenia. Ocena projektów będzie powierzona cesarskiemu Towarzystwu architektów w Petersburgu. Nagrody są trzy: 1500, 750 i 250 rubli.

Madryt 29 kwietnia. Z powodu usunięcia się ziemi w kopalni węgla w miejscowości Potina, wiele robotników zostało zasypanych. Dotychczas wydobyto 50 trupów i 10 rannych.

Poznań 29 kwietnia. Według doniesienia *Schlesische Ztg.* skonfiskowały władze pruskie 81 tysięcy obrazów, przedstawiających przysięgę Kościuszki. Obrazy te wykonane w Krakowie, miały na składzie księgarnie poznańskie.

Neapol 29 kwietnia. Studenci urządzili wczoraj pochód z pochodniami, a udawszy się przed pałac królewski, wznosili okrzyki na cześć króla i Loubeta. Ulice iluminowano. Król z prezydentem Loubetem, hrabią Turynu i księciem Genuy był wieczorem na przedstawieniu galowem w teatrze. O 11 wieczór wrócili król i Loubet do pałacu.

Rada państwa.

Wiedeń 29 kwietnia. Poseł Wacław Hruby wniósł interpelacyę w sprawie niewykonywania przepisów o równouprawnieniu językowem na Szląsku.

Dzisiejsze posiedzenie rozpoczęło się jak zwykle dosłownem odczytaniem całego szeregu wniosków, interpelacyj, petycyj itd.

Wojna.

Waszyngton 29 kwietnia. Według telegramu amerykańskiego posła w Tokio, korespondentom dzienników nie będzie odtąd więcej udzielane pozwolenie na towarzyszenie wojskom japońskim na terenie operacyjnym. Dotychczas już 200 amerykańskich i angielskich korespondentów przydzielono do armii japońskiej.

Petersburg 29 kwietnia. *Prawit. Wiestnik* ogłasza następujący okólnik ministerstwa spraw zagranicznych do zastępców Rosyi przy dworach mocarstw:

„Wobec tego, że w ostatnim czasie zagraniczna prasa rozszerza uporczywie pogłoski, iż u kilku rządów powstał plan podjęcia pokojowego pośrednictwa celem szybszego zakończenia rosyjsko-japońskiego zatargu, oraz że nawet pojawiły się telegramy, donoszące, iż rząd carski otrzymał już wnioski w tej mierze, jesteśmy upoważnieni do jak najkategoryczniejszego zaprzeczenia tym wiadomościom. Rosya nie życzyła sobie wojny i uczyniła wszystko, co leżało w jej mocy, aby zawikłania, powstałe na dalekim Wschodzie, załatwić w drodze pokojowej. Skoro jednak zdradliwy napad Japończyków zmusił ją do chwycenia za broń, nie mogłoby w obecnej chwili mieć miejsca żadne pośrednictwo, ani też rząd carski nie pozwoli na mięszanie się żadnego mocarstwa do układania warunków przy zakończeniu wojny.“

HOTEL GEORGE'A.

Pokoje ze światłem i obsługą od 3 K. począwszy.

Przyjechali dnia 29 kwietnia. Książę L. Ghyka z Paryża. Hr. R. Vacarescu z Bukaresztu. Hr. H. Konarski z Grochowic. Hr. M. Gorzeńska z Chlebowa. A. Misiągiewicz z Sanoka. E. Rylski z Uhrynowa. E. Corsica z Allenburgu. A. Gallar z Lyonu. E. Burckhard z Wiednia. M. Orjetti z Warszawy. G. Bargy z Paryża. L. Sachs z Budapesztu. C. Camis i A. Schoeller z Paryża. R. Catargi z Bukaresztu. A. Baudoin, P. Simund, H. Raggus i P. Lefrancais z Paryża. K. Brokl z Kijowa. J. Kondela z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 29 kwietnia. N. Rubińska z Żurawna. E. Ronke i J. Isenberg z Krakowa. A. Śniszkowa z Lubelli. K. Kollar z Pragi. S. Michałowscy z Żółkwi. D. Szymberska z Wierzbian. J. Gayda z Kosowa. S. Cyga z Buska. A. Hankiewicz, K. Gedliczka, A. Löwy i K. Seller z Wiednia. J. Krzysztofowicz z Artasowa. Z. Polańska z Rzymu. S. Błachowscy z Kozłowa. B. hr. Drohojowski z Cieszacina. A. Wojakiewicz z Połoniczny.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 29 kwietnia. A. Pędracki z Turki. W. Rubczyński z Toustego. W. Polański z Rudnik. M. Polański z Rostoczek. W. Mochnacka ze Stanisławowa. B. Kosielski z Podola ros. H. Dobrzański z Krakowa. M. Zagórski i H. Kozłowska z Potoka. Dr. S. Ruczka z Niżankowic. Dr. Reger z Przemyśla. J. Lityński z Korzenic. W. Przygodzki ze Śniatyna. Dr. Schwarz z Tarnopola.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Budapeszt 29 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 0·00—0·00, na maj 0·00—0·00, na październik 7·94—7·95; żyto na kwiecień 0·00—0·00, na październik 6·54—6·55; owies na kwiecień 0·00—0·00, na październik 5·50—5·51; kukurudza na maj 5·07—5·08, na lipiec 5·21—5·22. Rzepak na sierpień 10·85—10·95. — Oferty na pszenicę: dostateczne. — Chęć kupna mierna, Usposobienie: lepsze. Pogoda: piękna.

Wiedeń 29 kwietnia. Owies 5·45 — 5.65. Inne ceny niezmienione.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 29 kwietnia.

Marki 117.23, renta majowa 99.70, węgierska renta koronowa 97 85, akcye: austr. zakł. kredyt. 643·00, węg. zakł. kred. 760·00, anglobanku 280.00, unionbanku 517.00, bankvereinu 514·00, länderbanku 426·00, kolei państw. 643.25, lombardy 82 75, akcye kolei Elbethal 428.50, fabryki broni 466·00, tytoniowe 000.00, alpiny 413 50, Rima Muranyi 492.00, prag. Tow. żel. 0000·00, losy tureckie 132.50, ruble 252.75. Usposobienie: bez ochoty.

Lwów 29 kwietnia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 588.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 588·00 do 548.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101.80 do 102·00, 4 proc. los w 60 lat 98 80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 102.30 do 103.00. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·30 do 100.00 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.00 do 00 00, 4 proc. los w 41 i pół latach 9.·30 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99 80 do 100 00.

Monety. Dukat cesarski 11.26 —11.40. Napoleondor 19.00 do 19.25. Sto rubli papierowych 252.00—254 00 Sto marek 117 00 do 117·50.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30,** 7.55, 5 80 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.05, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.50* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9·30*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.85, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Jaworowa: 8.20, 5.20.
Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15, 10.55
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9*— 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Jaworowa: 6.51, 3.50.
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

50)

Dama pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

Spodziewał się nawet, że oddadzą mu zaraz syna, przekonawszy się w sposób niezbity o jego niewinności.

To też serce zabiło mu żywiej, gdy karetka p. Tolbiaca stanęła pod numerem 27, za remizą, stojącą opodal.

Nie była to chwila odpowiednia, żeby się naprzód wysuwać i staruszek patrzał zdaleka, jak wysiadali dwaj agenci i detektyw.

Słyszał, jak się zamykała brama i sądził, że głuchoniemy wszedł razem z nimi, bo nie mógł dojrzeć wyraźnie wchodzących.

Dorożka i karetka stanęły trochę dalej przy chodniku, obok powozu, którym przyjechał Ludwik z naczelnikiem i sędzią śledczym.

P. Lecoq podniósł oczy ku oknom apartamentu swojego syna, niebawem ujrzał cienie, przesuwające się za firankami, i odtwarzał sobie w myśli całą scenę konfrontacyi.

— Pozostawili go w salonie — myślał, spoglądając w okno środkowe. — Sami przeszli do pokoju sypialnego i mają go na oku... Tolbiac w tej chwili wszedł do gabinetu... Dostrzegam ich cienie... wepchną głuchoniemego do salonu... byle ten biedak nie zrobił jakiego znaku, któryby można rozumieć opacznie... Gdy pomyślę, że życie mojego syna zależy od skinienia, od gry fizyognomii, to mnie ciarki przechodzą...

I przeklinał Tolbiaca za jego pomysł próby tak niebezpiecznej.

— To dziwne — myślał. — Został w gabinecie... a tamci z pokoju sypialnego przechodzą do saloniku... Widocznie rozmawiają... Nie taki był przecie program tej sceny... Cóż się więc stało?...

W gabinecie światło mniej jasne. Zamknęli widocznie drzwi do salonu... Zapalili wpierw wszystkie światła, żeby módz lepiej śledzić wrażenie, jakie widok Ludwika zrobi na głuchoniemym... a jednak im nie pilno.

Zostawili Ludwika samego... to dobry znak... Gdyby go uważali za winowajcę, to mieliby go wciąż na oku.

P. Lecoq, uspokojony tem spostrzeżeniem, powiódł ręką po czole, spoconem mimo mrozu.

— Mój Boże! — szepnął nagle — to on zbliża się do okna... uchyla firanki... spogląda na ulicę... nie przypuszcza, że ojciec patrzy na niego... O czem też myśli? O mnie... o narzeczonej... Bóg mi go zwróci... Jutro, pojutrze najdalej będę mógł go ucałować... zaprowadzić go do tej, która czeka na niego wśród większej trwogi odemnie, bo nie wie, co się tu dzieje, a ja wiem, jestem pewny, że go uniewinnią, skoro tylko głuchoniemy...

Czemu oni tak zwlekają — myślał starzec, tknięty złem przeczuciem.

Miało się ono sprawdzić niebawem.

Ludwik odszedł od okna. W pokoju przyległym, w tym, gdzie odbywały się narady, pogaszono światła.

Po chwili otworzyła się brama, wyszedł jakiś człowiek i coś szepnął sierżantom, jeden z nich zawołał powóz, którym przywieziono podsądnego.

Skoro tylko powóz zajechał przed dom, p. Lecoq usłyszał, że otwierają drzwiczki i po skrzypieniu osi poznał, że wsiada kilka osób.

Wszystkie te manewry były wykonane bardzo szybko. Zanim staruszek zdążył przejść przez ulicę, powóz, olbrzymie lando, na sześć osób, potoczył się w stronę prefektury.

P. Lecoq nie widział już ani sierżantów, ani człowieka, który z nimi rozmawiał. Po chwili zgasło światło w oknach apartamentu.

Widocznie próba została ukończona.

Niebawem na ulicę wyszły trzy osoby; p. Lecoq poznał w nich odrazu: szefa policyi, sędziego śledczego i p. Tolbiaca.

Po krótkiej rozmowie rozstali się: sędzia wsiadł do dorożki, którą przyjechał Piédouche z Pigache'em, Tolbiac — do swojej karetki.

Oba wehikuły ruszyły. Szef policyi pozostał sam i podążył w stronę ulicy Castiglione.

Sposobność była wyborna.

P. Lecoq nie czekał dłużej. Podbiegł, pytając skwapliwie:

— I cóż?

— To pan?—odrzekł chłodno szef policyi. — Skądże się pan tu wziąłeś?

— Brakło mi cierpliwości czekać na pański powrót w prefekturze... Pan to chyba zrozumie... Gdzież mój syn?... Co się stało?

— Nie domyślasz się pan?

— Nie — szepnął starzec, zdziwiony ostrym drwiącym niemal tonem przyjaciela. — Widziałem, jak zajechał Tolbiac... jak wysiadali agenci... głuchoniemy... ale...

— Nie mogłeś pan widzieć głuchoniemego, bo go nie było... Uciekł... właściwie został wykradziony...

— Wykradziony?... Któż go wykradł?

— Byłbym panu wdzięczny, gdybyś mi pan to wyjaśnił. Co do mnie, przypuszczam, że agent Piédouche nie stawił oporu temu porwaniu.

— On!... To niepodobna... Ja go znam... Ten człowiek nie zdolny uchybić swojemu obowiązkowi...

— Stwierdzimy to niebawem, bo go posłałem do więzienia wraz z jego towarzyszem, Pigache'm. Pozostaną pod kluczem, póki nie zdołają wytłómaczyć swego postępku.

— A mój syn? — pytał p. Lecoq cały drżący.

— Radzę panu zapomnieć, że jesteś jego ojcem, bo go już nigdy nie ujrzysz. A powiem panu otwarcie i pan będziesz musiał zdać rachunek ze swoich kroków.

— Co to znaczy? Ja nic nie rozumiem.

— A jednak to bardzo proste. Konfrontacya z głuchoniemym byłaby skompromitowała pańskiego syna — wyszło to teraz na jaw, bośmy odkryli nowy dowód, świadczący przeciw niemu.

— Jaki?

— Pozwól pan, że ci nie będę zdradzał tajemnic śledztwa. Powiem tylko to: jesteśmy już pewni, że pański syn zamordował mężczyznę i kobietę przy ulicy Arbalète. Głuchoniemy byłby go poznał, więc głuchoniemy zniknął. A komu chodziło najbardziej o to zniknięcie? Panu.

— Mnie?! — zawołał ojciec Lecoq z oburzeniem. — Mnie, który pokładałem całą nadzieję w tem spotkaniu, będąc pewnym, że dowiedzie ono niewinności mojego syna? Ależ zapominasz, że ja pierwszy prosiłem, by go stawiono wobec głuchoniemego!

— Wiedziałeś pan zapewne, że wnosząc taką prośbę, nic nie ryzykujesz. Gdy się jest bogatym i sprytnym, tak jak pan, gdy się ma, tak jak pan agentów, oddanych sobie ciałem i duszą, łatwo urządzić wykradzenie.

— A więc pan mnie oskarżasz? — zawołał nieszczęśliwy ojciec z rozpaczą. — Potępiasz mojego syna?

— Ani pana nie oskarżam, ani nikogo nie potępiam. Ale obowiązkiem moim być nieubłaganym dla przestępców i dla tych, którzy tamują wymiar sprawiedliwości.

Nic panu więcej nie powiem. Byłem pańskim przyjacielem i ta przyjaźń kosztuje mnie drogo. Stosunki nasze zerwane. Żegnam.

Po tych ostrych słowach, szef policyi odszedł krokiem przyśpieszonym.

P. Lecoq nie próbował go zatrzymać, nie próbował się tłómaczyć, ani usprawiedliwiać.

Cóż go to obchodziło, że był pod jakimś zarzutem? Jedynym jego celem było dowieść niewinności syna, a miał jeszcze nadzieję, że tego dokaże.

ROZDZIAŁ XI.

W tydzień po smutnym wieczorze, który zniweczył wszystkie nadzieje Teresy, ojciec Lecoq siedział na ławce w ogrodzie Tuileryjskim, a nieliczni przechodnie, mijający wielką aleję, dziwili się, widząc tego staruszka, smaganego mrozem i wiatrem.

Śnieg prószył mu kołnierz, on nie czuł tego, nie widział. Wróble, przyzwyczajone jadać mu z ręki, zlatywały się tłumnie. Ćwierkały, pytając go jakby: „Co się stało naszemu przyjacielowi? Dlaczego o nas zapomina?“

Niestety, p. Lecoq zapomniał o wszystkiem, oprócz o swoim synu. Miał go wciąż przed oczyma.

I oto teraz myślał, że Ludwik stoi może przed sędzią śledczym, który go oplątuje siecią zręcznych pytań.

— Zamknęli przedemną drzwi więzienne — medytował staruszek. — Prefekt ma na mnie uwagę zwróconą. Gdyby nie szef policyi, siedziałbym pod kluczem. Przecież uwięzili Piédouche'a.

I wyobrażają sobie, że zapłaciłem Bóg wie ile za wykradzenie głuchoniemego! To tak, jak gdyby mnie oskarżali, że chcę zamordować syna.

A gdybym chciał prowadzić śledztwo na własną rękę, gdybym zbierał poszlaki, świadectwa, zamiast pomódz, zaszkodziłbym mu tylko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Marceli hr. Tyszkiewicz

*po krótkich i ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, przeniósł się do wieczności w **Komarowie**, dnia 26. kwietnia 1904, po południu, w 69 roku życia.*

W głębokim smutku pozostała Wdowa, dzieci i wnuki, zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na pogrzeb, który się odbędzie w **Starych Brodach** w sobotę dnia 30. kwietnia 1904, o godzinie 10-tej przed południem.

Lwów, dnia 28. kwietnia 1904.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, Lwów, Sobieskiego l. 10.

†

DUŃCIA

najukochańsza córeczka

Jadwigi i Aleksandra Koperskich

zmarła po długiej a ciężkiej słabości, dnia 28. kwietnia 1904 r., w 6-tej wiośnie życia.

Eksportacya zwłok odbędzie się w sobotę dnia 30-go kwietnia b. r. o godzinie 4-tej po południu, z domu żałoby przy ulicy Leona Sapiehy l. 43 na cmentarz Janowski, na którą w smutku pozostali rodzice z rodzeństwem — krewnych i znajomych zapraszają.

Lwów, dnia 28 kwietnia 1904.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, ul. Sobieskiego l. 10.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.